Obywatelska

gazeta im. Kornela Morawieckiego

Nr 233 • 4 – 17 grudnia 2020 • Indeks 407100

www.gazetaobywatelska.pl • cena 2,40 (w tym 8% VAT)

Kto nie zgina kolan przed Bogiem, zegnie je przed śmiesznymi bożkami.

Michael Faulhaber

Konflikt w Naddniestrzu – w kraju, którego nie ma

czytaj na str. 8.

Wojna dzieci Trockiego

Michał Mońko

De Facto

▪ W czasach komunizmu zrywaliśmy się do wolności, sięgaliśmy po wolność i mieliśmy nadzieję tę wolność osiągnąć.

str. 3 ▶

Wojna nie tylko na przecieki

Paweł Zyzak

▪ Po zabójstwie Mohsena Fakhrizadeha, przezywanego mózgiem irańskiego programu nuklearnego, Iranowi przybył kolejny męczennik.

str. 6 ▶

„Zimny wiatr" – Magdalena Maliszewska

str. 16 ▶

Gazeta dostępna w sieciach „Garmond" i „Ruch" oraz w salonikach Empiku.

ISSN 2392-3415 00233

9 772392 341009

Polska nie chce być Kenią

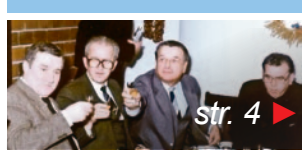

str. 4 ▶

Skoro nowa Polska nie uznała PZPR za organizację zbrodniczą i nie odsunęła komunistów i ich satelitów od władzy, transformacja ustrojowa polegała na zmianie nazw: PZPR na SLD, ZSL na PSL, PRL na III RP. Ludzie dzisiejszej władzy sprawiają wrażenie, że niczego nie widzieli. Nie doświadczyli komuny, „krwi i rozpaczy", jak pisał Józef Mackiewicz.

Splunięcie na Polskę

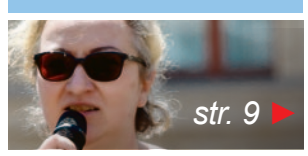

str. 9 ▶

Splunięcie Marty Lempart w stronę policjanta (...) jest symbolicznym splunięciem na państwo polskie i demokratyczny porządek. Jest splunięciem na przeszło 20 mln Polaków, którzy (...) zadecydowali, że sprawy polskie rozstrzygać się będą w publicznej debacie – może, i ułomnej i powierzchownej, lecz nie na ulicy (...).

Mikołajowi komedianci

str. 11 ▶

Podobno kultura znalazła się w szczególnie dramatycznej sytuacji (...). Niemniej – nie zaglądając nikomu do kieszeni – „biedni artyści" mają przecież programy telewizyjne (po kilkanaście tysięcy złotych), tantiemy z ZAIKS (nawet milion złotych rocznie), nie mówiąc o kontach bankowych, rezydencjach, samochodach, jachtach.

Cuda dzieją się każdego dnia

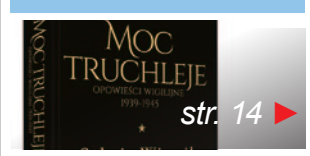

str. 14 ▶

Książki o Bożym Narodzeniu są zwykle niczym filmowe komedie romantyczne: lekkie, pogodne i słodkie. (...) Publikacja „Moc truchleje", która ukazała się w listopadzie, zawiera całkiem inne świąteczne historie. Po pierwsze prawdziwe, po drugie osadzone w scenerii wojny na Kresach wschodnich, kazachskich stepach czy nawet w KL Auschwitz.

Zapomniana ofiara

str. 18 ▶

Elity polityczne III RP, „zblatowane" z komunistami, nie dążyły do skutecznego wyjaśnienia śmierci wszystkich ofiar komunistycznych z lat 80. Przyjęta w literaturze liczba „około stu ofiar śmiertelnych", przez całe lata była przyjmowana za pewnik. Tymczasem ta liczba ulega sukcesywnemu zwiększeniu, bo na jaw wychodzą nowe fakty.

WCIĄŻ AKTUALNE

Słowa śp. Kornela Morawieckiego

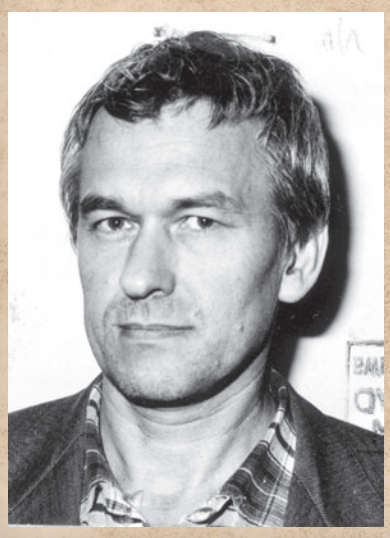

Jak źrenice oka

Pan Jezus nam przykazuje, jak ktoś chce ci zabrać twoją suknię, oddaj mu i swój płaszcz.

Mówi też, jak ktoś cię uderzy w policzek, nadstaw mu i drugi. Ale nie mówi, że jak chcą ci odebrać twoją ojczystą mowę, to masz się zrzec też swojej wiary, a jak chcą ci odebrać twoją tradycję, to masz się zrzec swoich obyczajów. Swej tożsamości i kultury masz strzec jak źrenicy oka.

Poeta pisał: „Święta miłości kochanej ojczyzny….Byle cię można wspomóc, byle wspierać, Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać". Miał rację.

„Praworządność"

Wacław Leszczyński

▪ Niemcy poprzez Unię Europejską chcą uzależnić fundusze unijne od „praworządności". W razie, gdyby jej zabrakło, dany kraj nie miałby unijnych funduszy..

W Traktacie Unii nie ma ani słowa o wiązaniu funduszy unijnych z „praworządnością". Jej pojęcie też nie było nigdy i nigdzie zdefiniowane. Przy przyjęciu tego projektu, kraje Unii straciłyby suwerenność, a ich „praworządność" ocenialiby, według politycznych sympatii, unijni (niemieccy) urzędnicy. Sprzeciw Polski i Węgier oburza Niemców, wzywających do europejskiej solidarności. Ale to wbrew solidarności Bundestag kazał budować Nord Stream 2!

Europarlament podjął rezolucję krytykującą polski Trybunał Konstytucyjny za wyrok w sprawie aborcji eugenicznej. Według niej, prawo kobiet do aborcji jest przejawem „praworządności". Władze Unii (Niemcy) mogą więc szantażować Polskę odebraniem funduszy, za zakaz aborcji, choć także niemiecki Trybunał uznał aborcję za sprzeczną z konstytucją. Ale to dotyczy Niemiec, a nie Polski. W Polsce nie wolno tak mianować sędziów, jak w Niemczech, bo oni tam mają inną, „wyższą od Polski kulturę prawną" – jak twierdzą ich politycy. Niemcy postępują zgodnie z prawami przez siebie ustanowionymi i zgodnie z własną „kulturą prawną".

Z niemiecką praworządnością i „kulturą prawną", Polacy spotykali się wielokrotnie w XX wieku. W 1901 r. niemieccy nauczyciele „praworządnie" bili we Wrześni polskie dzieci, bo nie chciały się modlić po niemiecku. Od 1904 r. zgodnie z niemiecką „kulturą prawną", Polacy nie mogli na własnej ziemi budować domów, stąd wóz Drzymały. Od 1908 r. Niemcy „praworządnie" mogli wywłaszczać Polaków z ich ziemi. W czasie I Wojny Światowej Niemcy walczyli nie przeciw Polsce, ale przeciw Rosji. To im nie przeszkadzało, by 4 sierpnia 1914 r. „praworządnie" spalić Kalisz i mordować jego mieszkańców. Niedawno niemiecka minister mówiła, że trzeba „zagłodzić Polaków". Niemcy mają w tym wielkie doświadczenie. Już w latach 1916-18, zgodnie ze swą „kulturą prawną" obrabowali ziemie polskie z żywności, w wyniku czego w okupowanych przez nich miastach, np. w Warszawie, panował głód.

1 września 1939 r. Niemcy „praworządnie", bez wypowiedzenia wojny, napadli na Polskę, nalotami niszcząc w 75 proc. bezbronne miasto Wieluń. Potem, wymordowali pracowników Poczty Polskiej w Gdańsku i wielu inteligentów polskich na rynkach miast Wielkopolski, Pomorza i Śląska. Mordowali „praworządnie" Polaków w Piaśnicy, Palmirach, Ponarach i na ulicach Warszawy, a naukowców w Sonderaktion Krakau i we Lwowie. Niemcy z ziem, które sobie

„praworządnie" przywłaszczyli, wygnali ponad milion Polaków, zagrabiając ich własności. „Praworządnie" Niemcy łapali Polaków i wywozili ich (ponad 2 miliony) do niewolniczej pracy w Niemczech. „Niemiecka kultura nie zabrania, na ulicach polowania" bo, oni z kulturą, od XIX wieku nie mieli nic wspólnego, tylko z barbarzyństwem. Polaków „rasy żydowskiej" Niemcy spędzili „praworządnie" do Gett i stąd wieźli ich na śmierć. „Praworządnie" Niemcy palili żywcem polskich chłopów, ratujących Żydów. Rabowali polskie dzieci z Zamojszczyzny na zniemczenie. Mordowali Polaków w niemieckich obozach śmierci – Stutthof, Auschwitz i innych. W ramach niemieckiej „kultury prawnej" (istotnie „innej"!) zniszczyli Warszawę, mordując ponad 200 tysięcy cywilów (kobiety, starców, dzieci). Sprawca zamordowania wtedy 40-60 tysięcy mieszkańców dzielnicy Wola, po wojnie był za to przez Niemców awansowany. „Praworządnie" zamordowali ponad 5 milionów obywateli polskich, zagrabiając w Polsce kosztowności, pieniądze, dzieła sztuki, urządzenia fabryczne, meble. Niemcy powinni pamiętać, że ich pomyślność i stan gospodarki opiera się w znacznej mierze na zrabowanych w Polsce dobrach i niewolniczej pracy Polaków w niemieckim przemyśle i rolnictwie. Jeżeli więc chcą teraz „praworządności", to niech oddadzą Polsce zagrabione mienie i zapłacą odszkodowanie w wysokości ok. 2 bilionów (tysięcy miliardów) dolarów.

„Polska" opozycja, to są pomocnicy Niemiec, czujący się, jak sami o sobie mówią, „Europejczykami polskiego pochodzenia". Jeśli oni uważają, że w Polsce jest źle i że im Polska nie odpowiada, niech się przeniosą do swej „europejskiej ojczyzny". Tam będą mieli takie prawa, jakich domagają się w Polsce: małżeństwa jednopłciowe z adopcją dzieci, aborcję na życzenie, imigrantów pod dostatkiem, a na starość eutanazję. Tam swym zwolennikom znajdą pracę – zbieranie szparagów. A Polsce niech dadzą spokój. Już dość naszkodzili występując przeciw Polsce zagranicą i w Europarlamencie, a w miastach wzniecając wulgarne zamieszki. To oni walczą z Kościołem i religią, to oni rzucają oszczerstwa pod adresem Wielkiego Polaka, św. Jana Pawła II. To oni ogłupiają młodzież tak, jak tego biednego 17-latka, dla którego „patriotyzm jest złem".

Polacy nie życzą sobie panoszenia się w Polsce Niemców i ich „praworządności", ani ich popleczników.

Spojrzenia

Do końca tego roku negocjacje, jako prezydencja UE, prowadzą Niemcy. Dzisiaj jest taki stan, że nie udało się niemieckiej prezydencji doprowadzić do kompromisu, do porozumienia wokół, zarówno koronafunduszu, jak i przyszłego budżetu UE na siedem lat. To jest obowiązek prezydencji niemieckiej, żeby do końca tego roku do tego kompromisu, do tego porozumienia doprowadzić. Polska jest gotowa w każdej chwili usiąść do stołu, jeśli pojawią się nowe propozycje – szef Gabinetu Prezydenta RP Krzysztof Szczerski.

Przez lata można było się śmiać z regulacji krzywizny banana czy innych absurdów. Teraz sprawa jest o wiele poważniejsza. Ktoś chce stworzyć państwo federacyjne i doprowadzić do możliwości wpływu na nasz porządek prawny. Chcą nam zafundować małżeństwa jednopłciowe, adopcje dzieci przez te małżeństwa, wyrugować z przestrzeni publicznej religię. Ceną mają być pieniądze. Mówię to wprost, Polska nie jest na sprzedaż. Członkostwo w Unii Europejskiej jest wartością, ale nie ma zgody na łamanie traktatów unijnych i polskiej konstytucji – wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik.

Komisarz Jacek Wrona nie ma wątpliwości, że liderka strajku kobiet, Marta Lempart za swoje zachowanie powinna zostać zatrzymana: „Sprawa jest oczywista. Jeżeli bezpośrednio znieważyła policjanta, powinna zostać zatrzymana, zawieziona na komendę. Tam należałoby podjąć decyzję ws. procesowego zatrzymania do 48 godzin, ewentualnie celem dowiezienia do prokuratury. Nie doszło do zatrzymania – to bardzo źle, ponieważ pokazuje, że są osoby równe i równiejsze. Gdybym ja lub ktoś z mojej rodziny czy znajomych podszedł do policjanta, zelżył go i splunął, to na sto procent zostalibyśmy zatrzymani na gorącym uczynku i rozliczeni z takiego zachowania. Tutaj stało się odwrotnie".

W wymiarze finansowym Polska i Węgry są odporne na nacisk Unii Europejskiej, głównie bogatej unijnej północy. Nam się nie spieszy, a kraje południa UE nie mogą czekać na nowy budżet – powiedział PAP politolog z Uniwersytetu Łódzkiego prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski.

Weto Warszawy i Budapesztu blokujące uchwalenie unijnego budżetu, w proteście przeciwko uzależnianiu funduszy europejskich od ustalonych przez władze Unii Europejskiej politycznych zasad tzw. praworządności, jest – zdaniem profesora Żurawskiego vel Grajewskiego – obroną niepodległości Polski i Węgier. Większość w UE nie może wszystkiego. To regulują traktaty – przypomniał i dodał, że niektóre z zasad tzw. praworządności ingerują w wewnętrzną politykę krajów członkowskich, tak jak UE chciałaby to robić w Polsce i na Węgrzech. Unijna północ, czyli tzw. klub skąpców, m.in. Niemcy, Austria, Holandia i kraje skandynawskie, chce ograniczenia transferów funduszy pod dowolnym pretekstem.

Wojna dzieci Trockiego

Michał Mońko
DE FACTO

▪ W czasach komunizmu zrywaliśmy się do wolności, sięgaliśmy po wolność i mieliśmy nadzieję tę wolność osiągnąć. Symbolami wolności były sztandary, barwy, hymny, orły. Był poznański Czerwiec, był gdański Sierpień i znowu był Czerwiec. Tego roku, dwa tysiące dwudziestego, minęło czterdzieści lat od Sierpnia i trzydzieści lat od Czerwca 1989. Mamy nareszcie wolną Polskę. Świętujemy?

Patrioci, ludzie niepodległości, świętują, cieszą się, bo pamiętają czym był PRL. Natomiast wnuki Trockiego wloką się ulicami miast, przeklinają wolną Polskę i wolnych Polaków. Niszczą pomniki, napadają na świątynie i na kapłanów, biją przechodniów, blokują ulice, plują na to, co jest święte dla Polaków.

To już było w zrewoltowanej Rosji. „Gromady ludzi hałasowały na placach miast, koło pomników i dworców kolejowych, w fabrykach, we wsiach, na bazarach, na wszystkich podwórzach i po wszystkich schodach każdego domu, gdzie była chociaż garstka lokatorów" – pisał Konstanty Paustowski w „Początku nieznanej ery" o przededniu rewolucji bolszewickiej w 1917.

Czy zatem jesteśmy w przededniu jakiejś rewolucji, a może wojny? Młodzi ludzie, porażeni wścieklizną polityczną, której nie rozumieją, krzyczą: „To jest wojna!" Czyja wojna? To wojna dzieci Trockiego, prowadzona przez monstra wulgarne, obrzydliwe, nieszczęśliwe, podające się za kobiety. Dzieci, niekiedy dwunastoletnie, dziesięcioletnie, występują przeciw dzieciom, tym nienarodzonym.

Bolszewicy? Niezupełnie. Na ulicach okrzyki, bandyckie zachowania, hasła pisane i wykrzykiwane mają barwę czerwoną i brunatną. Na czapeczkach, na rękawach widać czerwoną błyskawicę na ciemnym tle. To znak Hitlerjugend. Gromady osobników, chronione przez policję mimo zakazu zgromadzeń w czasie pandemii, blokują ulice, napadają na kościoły, niszczą pomniki narodowe i religijne.

Co na to prawica? Nic. Ta bezczynność wynika z naiwnej dobroci. Prawica chce być dobra, łaskawa, lubiana. No i nic nie robi. Człowiek prawicy pochodzi ze spokojnych czasów. A tu rewolta! Gdyby człowiek prawicy zdecydował w końcu, że wychodzi z domu na ulicę, żeby się rozejrzeć, to by musiał najpierw zdjąć z kolan kota, zdjąć papucie, założyć coś ciepłego, no i buty. A to wszystko nie jest takie proste.

Ludzie prawicy, powołujący się na rodowód Solidarności, ludzie, którzy barykady stanu wojennego oglądali z okien kawiarni albo z okien przedszkola, zaskoczeni są, a nawet zniesmaczeni i zawstydzeni wylewającym się na ulice rynsztokiem politycznym. Ten rynsztok nie pochodzi z księżyca, pochodzi z. PRL.

PRL połamał ludziom kręgosłupy, a stan wojenny pchnął wielu do prostytucji politycznej. Połamany kręgosłup jest nie do odratowania, a prostytucji nie da się zapobiec, przekształcając domy publiczny w ochronkę dla raczkujących polityków. Trzeba wiedzieć, że pół Polski umoczyło się w komunistycznym łajnie i nieźle żyło w tym łajnie. Iluż stoczyło się do politycznego rynsztoka, ilu skundliło się, sprostytuowało?

No więc policzmy. Trzy i pół miliona należało do PZPR. To z rodzinami dwanaście milionów. Cztery miliony z kawałkiem liczyły komunistyczne organizacje młodzieżowe. Niespełna milion należał do ZSL.

Partyjne rodziny czy też rodziny upartyjnione, liczyły w PRL ponad dwadzieścia milionów! Ta wiadomość może uprzytomni zbłądzonym, gdzie i z kim jesteśmy w III RP. Jeśli zaś naród jest wspólnotą losu i pamięci, to partyjny los i partyjna pamięć była i jest różna od pamięci mojej, od losu i pamięci tych, którzy wyrośli w patriotycznych rodzinach, zawsze byli przeciw komunizmowi, zawsze gardzili partią komunistyczną.

Niektórzy po prawicy wciąż flirtują z komunistami przebranymi za ministrantów. Otwierają przed byłymi sekretarzami partii drzwi do swoich gabinetów, do stanowisk, do kariery. No i wielu komunistów zajmuje wysokie stanowiska. W stanie wojennym Kościół otwierał swe wrota przed komunistami, a dzisiaj wnuki i dzieci owych komunistów bezczeszczą kościoły i biją księży.

Sytuacja, jaką znamy z ulic miast, od kilku lat była testowana i przygotowywana w Warszawie i w Brukseli. Lenin nauczał: „Osłabić, uśpić i we śnie udusić!" Państwo wobec hybrydowej rebelii wykazuje słabość uśpionego dziecka. Wciąż słabe, śpiące, a kiedy nerwowo budzi się, leje nie tych, których trzeba lać. Należy temu dziecku porządnie dać w dupę, żeby się obudziło.

Tymczasem uliczne plemię spod znaku błyskawicy Hitlerjugend, podnosi siłę gwałtu do godności sensu życia. „Żądamy pełnej aborcji!" – krzyczą dwunastoletnie dziewczynki. Tu nie powtórzę, co krzyczą czternastoletni chłopcy. Czemu krzyczą? Dzieci nie zawsze wiedzą przeciw komu i czemu krzyczą. Bo nie zawsze tatusiowie, wykrztałciuchy PRL, mówią im, o co tu naprawdę chodzi.

Dzieci były ulubioną zabawką generalissimusa Stalina. Najbardziej brutalne reżimy wykorzystywały dzieci w czasie wojen, w czasie rewolucji i w czasie utrwalania władzy. W sowieckiej Rosji dwunastoletni Pawlik Morozow wiedział, że chodzi o bolszewizm, o wodza narodów, Stalina. No i Pawlik organizował kołchozy, donosił na wrogów ludu, nawet na ojca doniósł. Żył krotko, bo dziadek udusił Pawlika w czternastym roku jego życia.

Mobilizacja dzieci bywa jakimś wyjściem w sytuacjach ostatecznych. Wszystkie rewolucje ostatnich dwustu lat posługiwały się dziećmi. Pol Pot budował nowe społeczeństwo z dzieci w wieku 12-16 lat. Starsi byli podściółką na „polach śmierci". Dwunasta dywizja Hitlerjugend składała się formalnie z dzieci w wieku 14-16 lat, nieformalnie także z dzieci dwunastoletnich. Partyzanci w Afryce są w wieku 12 – 16 lat.

Dzieci, zmobilizowane pod znakiem błyskawicy Hitlerjugend, krzyczą, bawią się, plują i bezczeszczą. Krzyczały na początku rewolucji francuskiej. Bawiły się i pluły po rewolucji lutowej, ale przed rewolucją październikowa w Rosji. Bezcześciły na początku wojny domowej w Hiszpanii.

Słowa, wyzwiska, przekleństwa wyzwalają poparcie dla wojny na niby, wojny, która raptem może przerodzić się w wojnę naprawdę. Dzieci nie wiedzą, ze wojna wdziera się z ulic do domów i do mózgów. Na użytek wojny tworzony jest nowy słownik, a starym słowom nadawane są nowe znaczenia. Społeczeństwo wojenne nie jest pobłażliwe. Dokonuje czynów, które w czasie pokoju uchodzą za niewybaczalne.

To, co dzieje się dziś na ulicach i na placach, jest wielkim oskarżeniem zmowy w Magdalence. Tam dwie biesiadujące strony – strona rządowa, reprezentowana przez gen. Kiszczaka, i strona Solidarnościowa, reprezentowana przez ludzi wskazanych przez gen. Kiszczaka, uzgodniły poza narodem i ponad narodem szatański pakt zgody bez rozliczenia zbrodni, pakt podkreślony przez premiera Mazowieckiego grubą kreską.

Komuniści zostali obdarowani w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym stanowiskami, odprawami, tytułami i perspektywą, że Polska będzie dla nich i dla ich dzieci i wnuków więcej niż Kenia dla królowej Viktorii. Czemu teraz nie godzą się z tak korzystną dla siebie transformacją ustrojową?

Bo raptem Polska przestaje być dla nich Kenią, przestaje być Rodezją, przestaje być Sudanem. Już mniejsze pieniądze płyną z Polki na konta ludzi, którym wciąż się zdaje, że są właścicielami Polski. Dla tych, co żyją z pensji od pierwszego do pierwszego, ta sytuacja oznacza, że rewolucja z 1980 i z 1989 odżywa w 2020 roku.

Polska nie chce być Kenią

Michał Mońko

PRAWDĘ MÓWIĄC

▪ Zaczęło się wszystko w pamiętnym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, kiedy tzw. opozycja demokratyczna przykleiła się do obcasów stoczniowców, portowców i górników, żeby w robotniczych butach wejść do władzy. Dzisiaj to już historia i jeszcze teraźniejszość, dopóki żyją świadkowie wydarzeń.

Kiedy Gdańsk stał się Warszawą, Kuroń zamieszkał u Walentynowicz, Michnik w Sopocie. Poeci, którzy w PRL pisali poematy o towarzyszach z bezpieczeństwa, wpadali z Paryża i Hanoweru do Warszawy, żeby powiedzieć, że w PRL „żyli na pół oddechu".

Kokietowanie robotników skończyło się, kiedy tzw. opozycja demokratyczna uchwyciła władzę i mogła zdjąć robotnicze buty i wypiąć się na robotników. Panienki mogły zostawić w spokoju robotników i wrócić do swoich mężczyzn, z którymi Nowy 1990 rok spędzały w Alpach na nartach.

Przyjaciel robotników, Kuroń, dawniej radykalny funkcjonariusz komunistyczny, zajął się sprzedażą „masy upadłościowej", czyli wyprzedażą Polski po upadku PRL. Spotkał się w swoim domu na Żoliborzu z Sachsem, obwoźnym ekonomistą amerykańskim, który dosłownie na kolanie naszkicował Kuroniowi zasady reformy gospodarczej, zwanej „terapią szokową".

Terapia, realizowana przez Balcerowicza, dawniej pracownika Instytutu Marksizmu-Leninizmu, polegała na masowych zwolnieniach milionów robotników i na sprzedaży opróżnionych z robotników fabryk. Na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Światа wojsko postawiło kocioł z zupą, a Kuroń rozdawał tę zupę bezrobotnym, uchodząc za dobroczyńcę szerokich mas. Napisałem wówczas w gazecie „Nowy Świat" tekst pod tytułem: „Miska propagandy". W istocie była to kuroniówka, miska propagandy.

W trakcie „terapii szokowej" komuniści nowej Polski sprzedali za bezcen i fabryki, i fabrycznych robotników. Sprzedawcy mają dziś apartamenty na Florydzie, w San Francisco, w Costa del Sol.

Ale także Polska jest im wciąż potrzebna. Bo Polska jest dla nich dawną Kenią, Angolą, Sudanem. No więc dzieci, wnuki już w Hiszpanii albo we Włoszech, a także w Miami, w Londynie, a tatuś jeszcze w Polsce, jedną noga pod Warszawą albo w Kazimierzu nad Wisłą, albo nad Wielkimi Jeziorami na Mazurach. Bu tu, w Polsce, są kolonialne interesy i robotni robotnicy.

Znana reżyser, córka pułkownika UB, dawniej ulubienica Bieruta, ma kilka rezydencji w Europie i w Ameryce, a pieniądze z Polski. Syn generała, który utrwalał władzę ludową na Podlasiu, dziś zarządza znacznym sektorem kultury nowej Polski. A syn pułkownika WSI, były sekretarz PZPR, działacz TKŚ, zarządza znacznym sektorem mediów. Sekretarz KC w czasach PRL, Olszowski, twardogłowy komunista, mieszka pod Nowym Jorkiem.

Rządząca w Polsce prawica nagradza sprostytuowaną lewicę i traktuje z wyrozumiałością dzieci i wnuki Trockiego. A te dzieci demonstrują dziś na ulicach Warszawy, Gdańska i Krakowa. Nie są to zwykłe pochody. To demonstracje szatańskiej nienawiści do wszystkiego, co jest święte dla Polski i Polaków. Początek niedokończonej rewolucji z osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Ta sytuacja ma swoje źródła w Magdalence, gdzie wymyślono III RP. „Nie w pełni wolne" wybory były rezultatem pokątnych rozmów tzw. opozycji demokratycznej i konformistów z gen. Kiszczakiem. Owe rozmowy i umowy miały zastąpić tzw. „sprawiedliwość transformacyjną" (ang. transitional justice; niem. Übergangsjustiz).

Sprawiedliwość transformacyjna, zastosowana w wielu krajach, które odrzuciły dyktaturę, oznacza ustalenie prawdy historycznej, rozliczenie przestępstw, ukaranie winnych, zadośćuczynienie ofiarom, liberalizację represyjnego systemu, demokratyzację instytucji i stworzenie państwa prawa.

Karl Jaspers, odnosząc się do winy Niemiec, pisał w 1946 roku o winie kryminalnej, winie politycznej, winie moralnej i winie metafizycznej. Przykładem „sprawiedliwości transformacyjnej" było rozliczenie się z przeszłością w Niemczech, nawet w Albanii, gdzie do więzienia trafiła żona krwiożerczego Hodży.

Sprawiedliwość transformacyjna w Niemczech objęła przede wszystkim sektor publiczny: sądy, administrację rządową i samorządową, służbę zagraniczną, szkolnictwo, wojsko i służby specjalne.

Nowa Polska nie zdołała zrealizować żadnego z celów „sprawiedliwości transformacyjnej". Po roku 1989 żaden z aktów władzy publicznej okresu PRL nie został uchylony z powodu niedostatków demokratycznej legitymizacji. Nie usunięto ze stanowisk sędziów – zbrodniarzy (wina kryminalna). Sekretarze partii, nawet sekretarze KC, przełożyli nogę przez ideologiczny płot i zaczęli robić na prawicy (wina polityczna).

Ale ta sama Polska, rządzona przez ludzi wyznaczonych w Magdalence przez gen. Kiszczaka, zadbała o spalenie w piecach zakładów w Jeziornej ważnych dokumentów MSW. Gdy zaś w 1990 roku, na ostatnim zjeździe PZPR w PKiN w Warszawie, I sekretarz KC, Rakowski, wydał polecenie: „Sztandar wyprowadzić", ogłoszono, że z Polski został wyprowadzony komunizm. Nie ogłaszano już, że kilka tygodni po ostatnim zjeździe PZPR były sekretarz KC powiedział, że kres PZPR nie oznacza w Polsce kresu komunizmu.

Skoro nowa Polska nie uznała PZPR za organizację zbrodniczą i nie odsunęła komunistów i ich satelitów od władzy, transformacja ustrojowa polegała na zmianie nazw: PZPR na SLD, ZSL na PSL, PRL na III RP.

W końcu osiemdziesiątego dziewiątego stało się coś zupełnie sprzecznego z zasadami „sprawiedliwości transformacyjnej". Komuniści, nawet bez deklaracji zerwania z komunizmem, byli nagradzani nienależnymi stanowiskami, a gdy chcieli emigrować, otrzymywali wielomilionowe odprawy w dolarach. Gdy zaś chcieli być w kraju, dopuszczeni byli do wysokich stanowisk i tworzenia nowej – starej Polski.

Tymczasem założyciele Solidarności, przywódcy strajków i pracownicy Zarządów Regionalnych, byli szykanowani, ►

► spychani na boczny tor życia politycznego i zwalniani z pracy. Należałem do takich szykanowanych.

W nowej Polsce, kiedy pani prokurator Z. przyznawała mi status pokrzywdzonego, powiedziała, że to, czego doświadczyłem w stanie wojennym, to „zbrodnia komunistyczna". Dostałem odpowiedni papier. Po kilku miesiącach otrzymałem z IPN dokument o umorzeniu ścigania „zbrodni komunistycznej". A przecież zbrodnią było także to, czego doświadczyłem w czasach PRL i w czasach nowej Polski.

W czternastym roku życia musiałem pracować w kopalni (17 miesięcy). Byłem w jednostce karnej, skąd wyszedłem z gruźlicą (1,5 roku). Pół roku siedziałem w rożnych aresztach. Dziewięć miesięcy byłem bez pracy etatowej po roku 1970. Ponad dwa lata nie pracowałem etatowo w stanie wojennym i byłem szykanowany.

W nowej Polsce byłem sześć razy zwalniany z pracy przez byłych sekretarzy partii. W ciągu trzydziestu lat nowej Polski pozostawałem bez pracy etatowej ponad 9 lat (dziewięć lat!). W tym czasie pracowałem na umowach cywilno-prawnych m.in. na Uniwersytecie Kardynała, na KUL-u, w WSEH w Skierniewicach, w Wyższej Szkole o. Rydzyka, na Uniwersytecie w Białymstoku i w Wyższej Szkole Bankowej w Toruniu.

Już w 1988 powołałem ponownie Solidarność Dziennikarzy. A jednak nie było dla mnie miejsca w Tygodniku Solidarność, gdzie znalazło się miejsce dla partyjnych i kilku konfidentów SB.

Nową Polskę tworzyło ponad ośmiuset funkcjonariuszy KC PZPR, dwa tysiące funkcjonariuszy komitetów wojewódzkich, komitetów wielkich zakładów i kilka tysięcy funkcjonariuszy służb cywilnych i wojskowych. Objęli oni ważne stanowiska średniego szczebla w Radzie Ministrów, w ministerstwach, w centralnych urzędach, w telewizji publicznej, w służbie zagranicznej, w bankach i w spółkach skarbu państwa.

Sędziowie – mordercy zostali w sądach i w Ministerstwie Sprawiedliwości! Twórca i szef bunkra telewizyjnego, Włodzimierz G., został dyrektorem Telewizji Regionalnej. Asystent prasowo-telewizyjny gen. Jaruzelskiego, por. Leszek W., dawniej oficer WSW, po 1989 oficer żandarmerii, został asystentem Prezydenta RP. Dwukrotnie wyjeżdżał z Prezydentem za granicę!

Dziennikarz, który zapowiedział w bunkrze przemówienie gen. Jaruzelskiego, wypowiadającego wojnę Polakom, Stefanowicz, został starszym radcą – Ministrem w Ambasadzie Polskiej w Moskwie. Główny lektor telewizji stanu wojennego, Szelewicki, został starszym radcą Ministrem w Ambasadzie Polskiej w Sztokholmie. Żona gen. Dukaczewskiego, dziś opluwająca PiS, została tłumaczką Prezydenta RP.

A sekretarka gen. Janiszewskiego, wcześniej sekretarka gen. Kiszczaka, przelazła przez grubą kreskę Mazowieckiego i objęła stanowisko po prawej stronie. Można więc powiedzieć słowami Szekspira: „Ileż zła potrafi dokonać dobro".

Najlepsze jest dziś, gdy Polska zmaga się z rewoltą LGTB, Oto w czerwcu 2020 roku Prezydent odznaczył Krzyżem Komandorskim radykalną działaczkę LGBT, współpracowniczkę lewackiej „Krytyki Politycznej" i lewackiej Fundacji Róży Luksemburg, uczestniczkę lewackiego Kongresu Kobiet, demonstracji LGBT, nawołującą Parlament Europejski do bezwzględnego karania Polski!!

Zarządzana przez dobrych ludzi Polska, cherlawa politycznie, demolowana przez wnuki Trockiego, dławi się dobrocią. Dobroć nie pozwala prawicy dokończyć dzieła, które zaczęło się w Sierpniu 1980. Dzieci i wnuki Trockiego krzyczą na ulicach: „To wojna!" A jeśli to wojna, to trzeba działać twardo i bezwzględnie.

Co trzeba zrobić? Trzeba wziąć za pysk tych, którzy wypowiedzieli Polsce wojnę. Tymczasem dobrzy ludzie władzy, zawstydzeni, ze spuszczonymi głowami, z przeprosinami w ustach, gryzą paznokcie, a niejeden uroni łzę – zamiast kopnąć kogo trzeba, zamiast dać w pysk, kto się aż prosi, żeby go walnąć w pysk. Myślę tak, mówię tak, bo poznałem wojnę komunistów, która toczyła się na Podlasiu do 1957 roku.

Widziałem sądy doraźne. Widziałem rozstrzelanego w Raczkach Naruszewicza, 20-letniego żołnierza WiN. Widziałem rozstrzeliwanych żołnierzy NZW opodal Ciszewa na Podlasiu. Widziałem jak ubek zastrzelił mojego wujka Konstantego, który trzymał mnie za rękę. I wciąż słyszę strzał i czuję krew na swoich policzkach. Widziałem ojca, gdy umierał po przesłuchaniu. Widziałem rozkułaczania i butę chamów komunistycznej władzy. Po prostu widziałem komunistyczny PRL.

Komuna unicestwiała nie tylko strzałem w potylicę. Wystarczyło nie dać pracy nauczycielowi, urzędnikowi, muzykowi. „Chcesz pracować?" – pytali w Karolewie na Mazurach ojca Jasienicy, Mikołaja Beynara, absolwenta studiów w Paryżu i w Wersalu. – „No to będziesz kopał rowy".

Ludzie dzisiejszej władzy sprawiają wrażenie, że niczego nie widzieli. Nie doświadczyli komuny, „krwi i rozpaczy", jak pisał Józef Mackiewicz. Nie przeszli przez strajki, przez barykady stanu wojennego. Niektórzy przeszli przez niewielki pokoik w Magdalence, do którego bywalcy Magdalenki byli zapraszani przez gen. Kiszczaka. Tam generał namaszczał i pasował.

Polska nie chce być Kenią z czasów królowej Wiktorii. To chwalebne. Ale nie wystarczy nie chcieć albo chcieć. Na Boga! Potrzebne skuteczne działanie służb porządkowych, skuteczne działanie mediów. Tych działań nie podźwignął zniewieściali organizatorzy kraju w szlafrokach i papuciach. Zaś zaniechania skutecznych działań nie zniosą ludzie na Podlasiu i na Podkarpaciu. To już widać na słupkach poparcia formacji politycznych.

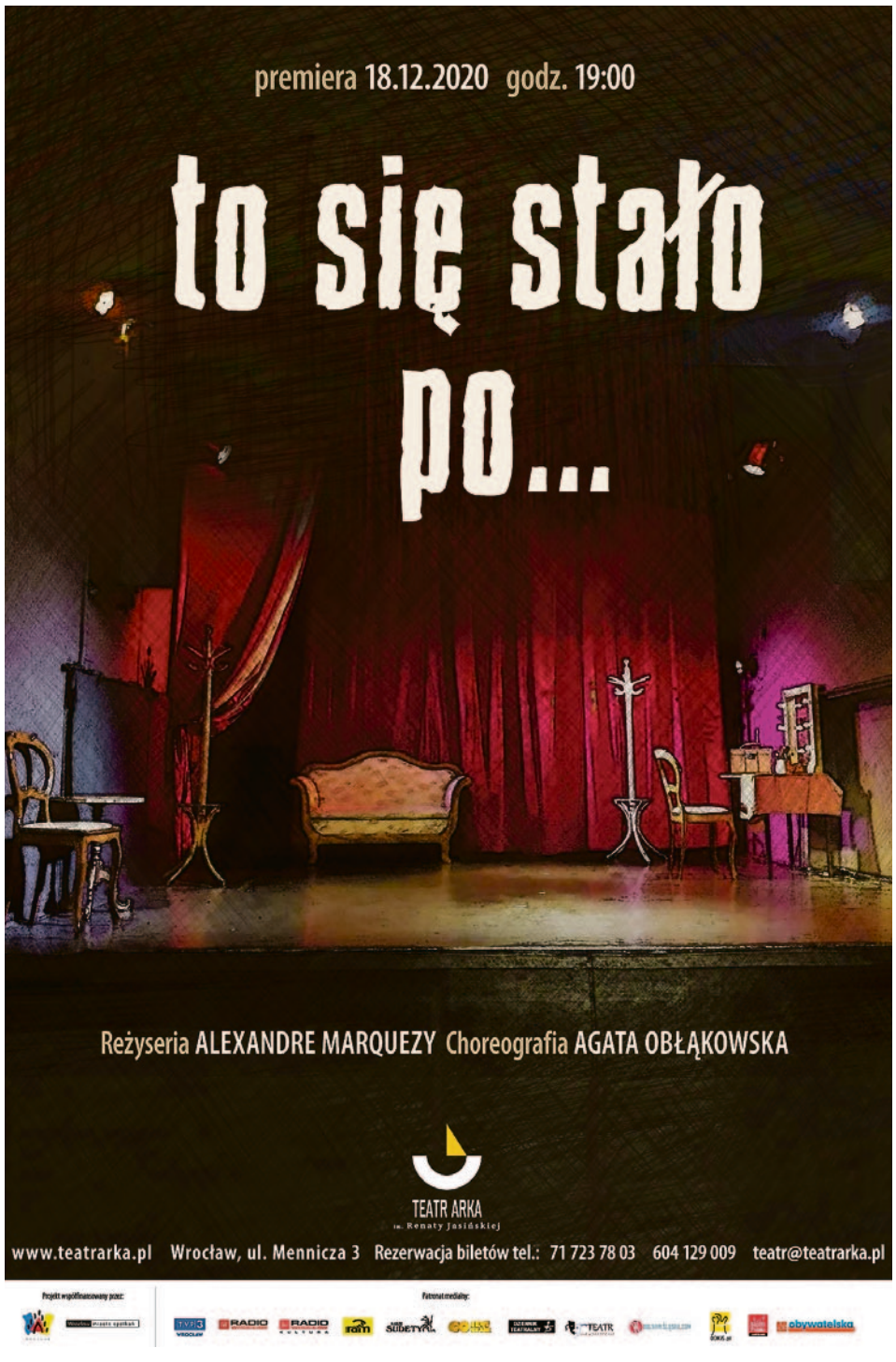

„Maskarada"

Antoni Wysocki

Czy to jakiś koszmar senny?
Czy nam śni się maskarada?
Kiedy nastał czas jesienny,
Znowu każdy maskę wkłada.

Każdy niczym słynny Zorro,
Maskę nosi na swej twarzy
I choć wszystkich nerwy biorą,
Nikt zdjąć maski się nie waży.

Każdy dzielnie – wzorem Zorra,
Walczy z koronawirusem
A tu nas z telewizora
Atakują strasznym newsem.

Ile nowych zarażonych
Ile chorych ile trumien;
Wielu z nas jest przerażonych,
Dłużej żyć już tak nie umie.

Może więc nie oglądajmy
Ciągle takich strasznych wieści,
W internecie poszukajmy
Przyjemniejszych dla nas treści.

Jak Don Diego de la Vega
W swojej masce jako Zorro,
O los ludzi wciąż zabiega,
Gdy lud biedny w jarzmo biorą.

Jesień A.D. 2020

Wojna nie tylko na przecieki

Paweł Zyzak

▪ Po zabójstwie Mohsena Fakhrizadeha, przezywanego mózgiem irańskiego programu nuklearnego, Iranowi przybył kolejny męczennik. Zwalczającym ów program stronom ubył zaś potencjalny jego „mózg”. Fakhrizadeh zasilił w ten sposób panteon, w którym oczekiwał już nań gen. Ghasem Soleimani. Można spierać się o to, czy większa jest korzyść z męczennika, czy z uśmiercenia, ktokolwiek by za zabójstwem nie stał, zaledwie jednego z naukowców, nawet gdyby był samym ośrodkowym układem nerwowym złowieszczej operacji. My spróbujmy wydobyć z mgławicy nieoficjalnych komentarzy, oficjalnych oświadczeń, gróźb i oskarżeń „kropki”, by następnie je połączyć. Na ratunek przychodzą nam przecieki, czyli stojący za nimi bohaterowie minionych i bieżących wydarzeń.

W wypadku śmierci Soleimaniego wiemy przynajmniej, że doszło do „likwidacji celu”. Znamy pistolet, rękę, która go trzymała i mózg, który wysłał impuls nerwowy aż do ścięgien dłoni. Znamy środki, którymi dokonano asasynacji i znamy zleceniodawcę, za którego głowę zresztą reżim irański „oddolnie” wyznaczył sowitą nagrodę (między $3 lub $80 mln.). W przypadku zabójstwa Fakhrizadeha wiemy tylko tyle, że nie doszło do samobójstwa. Ucierpieli bowiem bezpośredni świadkowie zdarzenia. Brakuje samochwały, który wykrzyczałby: „To ja! To ja!”. Mimo, iż wrogów Iranowi nie brakuje, bo jest i wahabicka Arabia Saudyjska, jest jeszcze bardziej purytańskie ISIS, które zresztą uważa Saudów za zaprzedanych „Wielkiemu Szatanowi” (termin spopularyzowany przez Ajatollaha Chomeiniego), jest wreszcie Izrael, no i Rosja, która lubi płatać psikusy, i podszywać się pod wszelakich, zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

Odchodząca amerykańska administracja jest na tyle przewidywalna, że polityk, który dał jej swoje nazwisko, bez wątpienia nie dałby się okraść z możliwości zakomunikowania tak doniosłej decyzji swej 90-milionowej audiencji na portalu społecznościowym jakimś rzecznikom prasowym albo jakimś przeciekom. Miast tego retweetował komentarz izraelskiego dziennikarza Yossi Melman, który napisał, że Fakhrizadeh „był głową irańskiego tajnego programu wojskowego i przez wiele lat ścigał go Mossad”. Niezależnie od autentycznych zasług, mniej lub bardziej spontaniczne protestujący na ulicach Teheranu, odpowiedzialnością za zabójstwo solidarnie obdzielili USA, bez podziału na barwy partyjne, oraz Izrael, któremu tradycyjnie życzą zagłady.

Oficjalne stanowisko Teheranu na temat śmierci Fakhrizadeha opisuje mord z wykorzystaniem zaawansowanych technik wojskowych. Dokonał go bezzałogowy pojazd terrorystyczny, nie zaś terrorysta samobójca, jak gdzieniegdzie podawano. Wedle raportu Fars News oraz pół-oficjalnej Irania Students News Agency do podróżującego wraz z żoną ogień otworzył zdalnie obsługiwany karabin maszynowy znajdujący się w samochodzie marki Nissan. Tuż po trwającym trzy minuty ostrzału samochód ów eksplodował. Przywódcy reżimu, poszukując sprawcy, wskazują palcem na Izrael, a ściślej na „syjonistów”, którzy dążą do sprowokowania otwartej wojny na Bliskim Wschodzie. Nie zaprezentowali dotąd dowodów na sprawstwo Tel Awiwu, ale i premier Izraela Benjamin Netanjahu odmawia komentarza w sprawie zabójstwa. Reszta świata wydaje się być nieco skołowana. EU głosem swych oficjeli potępiła mord sam w sobie, natomiast Wielka Brytania, tak jak my, „pilnie próbuje ustalić fakty”.

„Przecieki” są nośnikiem dwojakiej wiedzy. Po pierwsze, komunikują problem zawarty w treści jako takiej. Po drugie, zliczając ich liczbę i częstotliwość, informują o dynamice wydarzeń, o potencjalnych napięciach występujących w ośrodku decyzyjnych. 17 listopada, czyli przed niespełna trzema tygodniami, media poinformowały, iż prezydent USA poprosił swych najważniejszych doradców o przedstawienie „opcji” ataku na irańskie instalacje nuklearne. Z czego wynikało owo zainteresowanie prezydenta? Nie wiadomo. Podobnie jak nie wiadomo, czy miało to być działanie zaczepne czy odpowiedź na takowe. Z przecieku owego wiadomo, że ataku odradzali prezydentowi zarówno doradcy wojskowi, jak i cywilni, w tym jego wiceprezydent oraz sekretarz stanu. Czy odradzili? Przeciek wyszedł z jądra decyzyjnego Stanów Zjednoczonych i nie był jedynym przeciekiem dotyczącym spraw około-irańskich, jaki przedostał się do tzw. opinii publicznej do dnia zabójstwa Mohsena Fakhrizadeha.

Na scenę wchodzą pozostali aktorzy. Wśród nich pierwszy następca tronu Arabii Saudyjskiej Mohammed bin Salman, faktyczny i niepodzielny władca w Rijadzie. Otóż w ostatnim czasie na księcia spadł, wedle przecieków rzecz jasna, grad namów, iżby spotkał się z „cztery oczy” z premierem Netanyahu. Arabia Saudyjska króla Salmana, mimo swych wyjątkowo bliskich więzi z wyjątkowo pro-izraelskim Białym Domem, nie dołączyła w ostatnich miesiącach do grona państwa islamskich, które dały się namówić na normalizację relacji z Izraelem. Królestwo nie jest jeszcze na to gotowe – argumentowali Saudyjczycy w Waszyngtonie. Bin Salman miał nadzieję, że i tym razem ucieknie spod gradowej chmury. Jeszcze ciemniejszej niż wcześniejsza, bo rezultat wyborczy, i związana z tym, zbliżająca się nieubłaganie zmiana politycznej warty, wywołały pod bezchmurnym zwykle niebem arabskim duży niepokój. W namowy wszakże zaangażował się osobiście amerykański sekretarz stanu, czytaj: stojący za jego plecami prezydent.

Do spotkania finalnie doszło 22 listopada, w niedzielę, w ukochanym dziecku następcy tronu, powstającym, w przyszłości najnowocześniejszym mieście na półwyspie, „smart city” Neom. Uczestniczył w nim obok Netanjahu i bin Salmana, sam jego sprawca, Mike Pompeo. Tak oto doszło do unikalnego, pierwszego jakby potwierdzonego, o czym dalej, szczytu między szefami rządów Izraela i Arabii Saudyjskiej, choć Netanjahu i książę mieli się już w przeszłości spotkać. Netanjahu zabrał ze sobą w podróż szefa Mossadu Yossi Cohena.

Szczegóły dotyczące spotkania wydają się pochodzić głównie od strony saudyjskiej, antycypującej niemiłe konsekwencje owego szczytu. Wysłała ona swoich „informatorów” do m. in. mediów brytyjskich. Szczegóły te stanowią swoisty bufor narracyjny, osłaniający osiowy „przeciek”, na jaki zgodzić się miały strona izraelska i saudyjska, potwierdzający, iż do spotkania bin Salmana i Netanjahu w rzeczywistości doszło. Wiadomość taką jako pierwszy opublikował anglojęzyczny „Haaretz”. Arabia Saudyjska zastrzegła sobie wszakże prawo do dementi i zaprzeczyła potem udziałowi Netanjahu w spotkaniu w Neom. Podobnie w oświadczeniu Departamentu Stanu USA zabrakło nazwiska premiera Izraela…

Przywódca Arabii Saudyjskiej znalazł się w niełatwym dla siebie położeniu. Ktoś powiedziałby, że między Scyllą a Charybdą. Z jednej osobista relacja z przywódcą głównego supermocarstwa i protektora, co prawda kończąca się, ale kończąca się do stycznia. Z drugiej irańskie, ościenne i śmiertelne zarazem niebezpieczeństwo. Na Rijadzie nie udawane wrażenie zrobiły dronowe ataki na infrastrukturę państwowego giganta naftowego Aramco w 2019 r., w rafineriach Abqaiq i Khuaris, które doprowadziły do kilkumiesięcznej, znaczącej redukcji produkcji. A był to zaledwie pokaz siły. Uderzenie sprofilowane zostało tak, aby Arabia Saudyjska mogła relatywnie prędko odbudować zniszczenia. Obliczone na minimalne straty, albowiem jednym takim ruchem Teheran mógł, gdyby chciał, wpędzić Arabię Saudyjską, całkowicie uzależnioną od handlu ropą, w kryzys ekonomiczny cofający ją dekady wstecz. Wówczas szacowane na $500 mld. Neom pozostałoby tylko jeszcze jedną baśniową ekstrawagancją.

Poza tym do władze w Rijadzie mogły mieć podejrzenia, a może i potwierdzone informacje, iż odchodzący prezydent USA, by wesprzeć zaprzyjaźnionego premiera Izraela, i by postawić swego następcę przed szeregiem faktów dokonanych, zdecyduje się wykonać jeszcze jeden spektakularny gest wobec Tel Awiwu. W mediach pojawiały się sprzeczne, a zarazem układające się w pewien logiczny ciąg informacje. Te amerykańskie donosiły o ruchach amerykańskich wojsk, m. in. o wpłynięciu lotniskowca USS Nimitz i jego grupy uderzeniowej do Zatoki Perskiej oraz o ćwiczeniach bombowców B52 z dala od swych baz w Północnej Dakocie, w których uczestniczył również samolot cysterna. Z kolei media brytyjskie poinformowały, że władze w Teheranie wysłały do Bagdadu wysokiej rangi generała z instrukcjami dla liderów bojówek szyickich z przekazem, iż odchodzący prezydent USA „chce przed odejściem wciągnąć region [Bliskiego Wschodu] w otwartą wojnę, aby zemścić się na swoich oponentach za przegrane wybory, i nie leży w naszym interesie, by dać mu usprawiedliwienie dla rozpoczęcia takiej wojny”.

Z punktu widzenia reżimu w Rijadzie, wojna, która rozpoczęłaby się za obecnej amerykańskiej administracji, toczyłaby się już za nowej, a ta nowa będzie mieć do energicznego księcia dużo pytań, m. in. o wojnę w Jemenie, czystki w rodzinie królewskiej i pozbawienie tytułu następcy tronu Mohammeda bin Nayefa, a przede wszystkim o zabójstwo dziennikarza Jamala Khashoggiego, znajdujące się w koszyku „praworządność”. Saudowie liczą najpewniej, jeśli wierzyć przeciekom, na pęknięcia w samej, obecnej administracji, żywiąc nadzieję, iż entuzjastów bombardowań w Iranie trudno jest znaleźć poza kręgiem rodzinnym prezydenta.

Za to liczyć nie mogą na razie na inne potęgi w regionie. Za kilkuletnich, udzielnych rządów bin Salmana mocno pogorszyły się relacje Arabii Saudyjskiej z Turcją, które, po prawdzie, nigdy nie były idealne. Turków i Saudów dzielą silne historyczne zaszłości, dotykające podwalin obydwu państwowości, czyli spuścizny Sułtanatu Osmańskiego. Jątrząca jeszcze w mentalności elit obydwu państw relacja suzerena i dawnych poddanych oraz rola opiekunów Mekki i Medyny, miejsc świętych muzułmanów, wreszcie odmienny stosunek saudyjskich i tureckich elit do Bractwa Muzułmańskiego. W ostatnim czasie następca tronu usunął się nieco w cień, zaś gesty pojednania zaczął wykonywać jego ojciec, Salman, rodzony syn Ibn Sauda, twórcy państwowości współczesnej Arabii. Także relacje z Egiptem, gdzie punktów stycznych jest więcej, wcale nie układają się nazbyt pomyślnie. Prezydent Abdel el-Sisi ma podejrzliwie spoglądać na technologiczną i handlową współpracę saudyjsko-izraelską, obawiając się utraty strategicznych walorów przez Kanał Sueski.

Tyle tylko i aż tyle udało nam się nakreślić dzięki informacjom zdementowanym i nie zdementowanym. Ale przede wszystkim dzięki przeciekom, także o samych przeciekach.

Co to jest zbydlęcenie?

Artur Adamski

Radio Wolna Europa nadawało kiedyś cykliczną audycję pt. „Co to jest sowietyzacja? Czyli – przed czym musimy się bronić?" Autorzy zwracali w nich uwagę na przejawy zwyrodnienia życia społecznego i ludzkiego postępowania, będące skutkiem funkcjonowania w warunkach z gruntu wrogiego człowiekowi marksistowskiego ustroju.

Dzisiaj jesteśmy świadkami recydywy ideologów obiecujących swym wyznawcom świetlaną przyszłość. W rzeczywistości prowadzą ich w kierunku zezwierzęcenia. Możliwy powrót sowieckiego koszmaru jest wynikiem braku rozliczenia komunistycznych zbrodni oraz zachowania uprzywilejowanej pozycji przez najściślej tę samą grupę społeczną, którą sowiecki okupant uformował, równocześnie przeprowadzając eksterminację prawdziwych polskich elit. W efekcie postkomuniści doprowadzili do wyparcia z powszechnej świadomości wiedzy o zbrodniczej naturze każdej skrajnej lewicy. Wychowali też swoich następców i doczekali się triumfu marksistowskich ideologów w świecie zachodnim. O skali zakłamania, niepodzielnie dziś dominującego np. w państwie niemieckim, świadczy stawianie w nim pomników takim architektom ludobójstwa, jak Karol Marks oraz bezpośrednim organizatorom wielomilionowych rzezi, do jakich należał Włodzimierz Lenin. Do głosu dziś dochodzą te same tendencje, które – operując mirażem cudownego jutra – doprowadziły już do największych katastrof w dziejach ludzkości.

Odrzucenie dziedzictwa

Forpocztą zagłady, jaką przyniosły rewolucje leninowska i hitlerowska były ideologie radykalnej awangardy, postulującej zniszczenie wszystkiego, co było wcześniej. Tomasso Marinetti wzywał do zburzenia zabytków, spalenia muzeów i bibliotek, „oczyszczenia z gangreny wszelkiej maści antykwariuszy". Następcy przeszli do czynów – w Chinach spopielono niemal wszystkie pamiątki przeszłości (do nielicznych ocalałych należy słynny mur i tzw. zakazane miasto), a Rosję ogołocono niemal ze wszystkich cerkwi. Ofiarą wielomilionowych eksterminacji padły nie tylko wszystkie dotychczasowe warstwy przywódcze i wykształcone, ale nawet nieco tylko zamożniejsi chłopi.

Analogiczną cechą dzisiejszych lewaków jest wrogi stosunek do narodowej pamięci, eliminowanie wszelkiego rodzaju historycznych świadectw lub zastępowanie ich całkowicie spreparowanymi substytutami, służącymi ideologii i nie mającymi związku z prawdą. Jako wróg naczelny wskazywany jest Kościół. Wypieranie symboli religijnych z przestrzeni publicznej, zakłócanie liturgii, szerzenie szkalujących informacji, atakowanie świątyń wraz z postulowaniem ich zniszczenia to zjawiska identyczne z tymi, jakie miały miejsce we wstępnej fazie rewolucji hitlerowskiej, leninowskiej czy maoistowskiej. Celem tych destrukcji jest stworzenie skrajnie odmiennego ładu, pozbawionego takich komórek społecznych, jak tradycyjna rodzina oraz ucieleśnienie nowej koncepcji człowieka. Miałby on motywować się wyłącznie racjonalizmem, a świat ducha, uczuć, wartości – miałby dla niego nie istnieć. Zdumiewające, że ideologów tej koncepcji nie przeraża jej łudzące podobieństwo do indywiduum psychopatycznego. Najprościej rzecz ujmując, psychopatą jest przecież człowiek posiadający zdolność rozumowania, ale pozbawiony zdolności empatii.

Szyderstwo z cierpienia

Osobnik o nazwisku Palikot, słynący z „bon motów" w rodzaju „Kaczyńskiego trzeba ustrzelić i wypatroszyć", kilka dni po tragicznej śmierci m.in. prezydenta oraz wiceprzewodniczącego PiS ogłosił, że „Przemysława Gosiewskiego widziano na dworcu we Włoszczowej". Co na temat zdolności empatii mówi nam skłonność do tego rodzaju „żartów"? Palikot świetnie wiedział, że do dzieci dopiero co zabitego posła ledwie docierała w tamtych dniach świadomość tego, co się stało. Nie dane im było zobaczyć zwłok swojego ojca. Zmasakrowane szczątki składano właśnie do grobu w zalutowanej trumnie. I wtedy od innego posła (!!) usłyszały, że ich ojciec żyje, że spaceruje w ściśle wskazanym miejscu.

Jednym ze zwyczajów barbarzyńskich najeźdźców było wykorzystywanie map krain podbitych, zrabowanych, wymordowanych – jako obrusów biesiadnych stołów. Celem było oczywiście wyrażanie swej wyższości, upajanie się triumfem, szyderstwo i pogarda dla pokonanych. W czasie II wojny światowej tradycję tę kontynuowali żołnierze Hitlera. Wielu z nich w podbitej Polsce wynajdywało mapy naszego kraju, by pod taflą szyby umieścić je na blacie stołu. W Austrii czy RFN tradycja takiego wyrażania satysfakcji z podboju i śmierci zadanej swym wrogom bywa kontynuowana do dzisiaj. Stolik z wmontowaną w blat siedemnastowieczną mapą Polski jako jeden z tysięcy swych wojennych trofeów do swego ogromnego domu w austriackim Hagenbergu przywiózł sobie okupacyjny gubernator dystryktu krakowskiego Otto von Wachter. Przez kilkadziesiąt kolejnych lat korzystał z niego niemal codziennie jego syn Horst. Analogiczny stolik zobaczyć możemy dzisiaj w jednej z wrocławskich kawiarnio-księgarni, w której kawę i ciastka kładzie się na stole o kształcie szklanego pudła. W jego wnętrzu, nad imitującymi gęstą mgłę zwałami waty, umieszczono model rozrywanego eksplozją, groteskowo drgającego na sprężystej zawieszce, samolotu Tu-

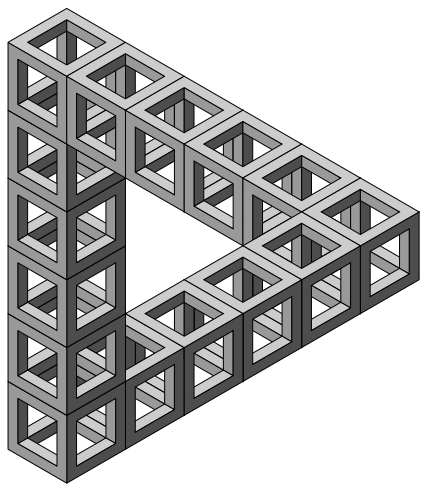

154M w polskich barwach. Skojarzenie nie może być inne – nagła tragiczna śmierć 96 ludzi, w tym prezydenta RP i jego żony. Gospodarzy i gości lokalu zapewne bawi groteskowe przedstawienie wydarzenia, będącego największą od czasów wojny tragedią naszego państwa, w którym tak wielu nagle straciło bliskich, a to wiązało się też z celowym bezczeszczeniem ciał zabitych, zamierzonym spotwarzaniem pamięci ofiar. Zupełnie tak, jakby nie dość było szyderstw ze strony indywiduów w rodzaju Anodiny czy potwarzy miotanych przez różnych rodzimych Pawłów Grasiów. Z czym, jeśli nie zbydlęceniem, mamy do czynienia w przypadku tego rodzaju zabiegów?

Wyścig w brukaniu świętości

W długich dziejach sztuki i literatury bywało, że artyści ocierali się o bluźnierstwo. Jednak od czasów prymitywnych, prehistorycznych kultów orgiastycznych nigdy nie mieliśmy do czynienia z wypowiedziami, których celem jest maksymalne upodlenie symboli religijnych. Czego dzisiejsi „artyści" jeszcze nie robili z krucyfiksem? Jeden z „happenerów" tarzał się, symulując kopulację. Inny lepił święty dla chrześcijan znak z kału egzotycznych zwierząt. Następna umieściła na nim genitalia, kolejny zanurzył w przemyślnie skonstruowanym pisuarze… Jaki może być cel sięgania akurat w przypadku tematyki religijnej po tworzywa takie, jak mocz i ekskrementy? Cóż innego było zamiarem, jeśli nie dążenie do zadania bólu wyznawcom Chrystusa?

Aplauz dla zbrodni

Do warszawskiego kościoła przy ul. Karolkowej przylega sporych rozmiarów tablica pamiątkowa informująca, że pod ścianą tejże świątyni w sierpniu 1944 Niemcy rozstrzelali trzydziestu księży. Rozwrzeszczana zgraja, kilka dni temu przechodząca pod tym kościołem, na jego murze zostawiła napis o treści „Je… kler!" (w oryginale – litery zamiast kropek). Jak wiadomo, osobnicy noszący na mundurach takie same błyskawice, jakie dziś noszą osobniczki z tzw. strajku kobiet (znak ten w germańskim alfabecie runicznym czyta się „sieg", stąd był częścią hitlerowskiego pozdrowienia „Sieg Heil!") w tej części naszej stolicy zamordowali 60 tys. Polaków. Ocaleli tylko pojedynczy świadkowie, z kościoła pozostały wypalone ściany. Nie znamy więc szczegółów tego wydarzenia. Najprawdopodobniej jednak to właśnie ta ściana, na której dziewczęta spod znaku błyskawicy napisały „Je… kler!", wcześniej skutkiem serii wystrzelonych przez ludzi z błyskawicami na ubraniach, została obficie zbryzgana krwią. Może w miejscu wymalowania tego hasła są jeszcze pod farbą ślady krwi? Może w cegłach tkwią jeszcze wystrzelone przez zabójców pociski ze strzępkami nici z tkanin alby, koloratki, sutanny? A może z odrobinkami tkanek ciał rozstrzelanych?

Napis raczej nie był dziełem indywidualnym. Ostatnio powstaje ich masa w każdym miejscu przemarszu „strajku kobiet". Najpewniej więc świadkami powstawania tego hasła na tej właśnie ścianie były przynajmniej dziesiątki osób. Czy możliwe jest, by nikt z tej liczby nie wiedział, jaką historię ma ściana, na której umieszczano wulgarne złorzeczenie? Czyż nikt nie dostrzegł wielkiej tablicy, przypominającej o dokonanym tu mordzie i jego ofiarach? Jeśli ktokolwiek z tłumu dostrzegłby, najdelikatniej mówiąc, niestosowność napisu, zapewne by go zamalowano. Jakie więc wyciągnąć wnioski o motywacjach, o myśleniu, o sumieniu sprawców takiego czynu?

Jaka to propozycja świata?

W pierwszym założonym przez bolszewików obozie koncentracyjnym czekiści ustawili pomnik biblijnego Kaina. O co mogło im chodzić? Czy o uświadomienie uwięzionym, że uczestniczą w budowie świata, w którym ideałem i wzorcem staje się bratobójstwo? Bohaterem radzieckich pionierów był Pawlik Morozow. On też miał pomniki, jego wizerunek umieszczony był w pionierskich znaczkach, a każdy wstępujący do tej organizacji składał przysięgę zawierającą zdanie „chcę być taki, jak Pawlik Morozow!" Czego dokonał ten bohater? W okresie przymusowej kolektywizacji doniósł na sprzeciwiających się jej rodziców, w wyniku czego czekiści natychmiast rozstrzelali jego ojca i matkę. Co dziś niosą ludzkości zwolennicy śmierci na życzenie, rozsmakowani w wyszydzaniu cudzego cierpienia, tłumnie wyrażający aplauz dla masowego morderstwa? Trudno tego nie skojarzyć z innym lewicowym ruchem. Podstawową „sprawność" członków Hitlerjunged uzyskiwało się bowiem wraz z własnoręcznym, maksymalnie okrutnym zabiciem psa, osobiście hodowanego przez co najmniej rok, od momentu dopiero co narodzonego szczenięcia. Ideałem było bezlitosne zabijanie najsłabszych, wydawanie na śmierć tych, których zwykło się najbardziej kochać. Analogicznie – śmiech z mordowanych, aplauz dla egzekucji każdego reprezentującego inne przekonania.

Kreatorzy systemów totalitarnych widzieli w tym „hartowanie ludzi ze stali", gwarancję sukcesu zbiorowości, której przewodzili. Antropologiczna inżynieria, polegająca na redukcji sumienia, przebiegać jednak może tylko w jednym kierunku. Jest to kurs w stronę zastąpienia ludzkości zbiorowością bestii.

Konflikt w Naddniestrzu

Antoni Czeliuskin

▪ „Războiul din Transnistria”, czyli wojna domowa w Mołdawii, tocząca się z największą intensywnością od marca do lipca 1992 roku – jest konfliktem zbrojnym pomiędzy mołdawską policja, mołdawskimi narodowcami i rumuńskimi ochotnikami z jednej strony i „prosowieckimi” mieszkańcami lewego brzegu Dniestru, rosyjskimi i ukraińskimi ochotnikami oraz oddziałami Kozaków. Wojna na tym terenie wywołuje kontrowersje, a społeczeństwo w Polsce niewiele wie o tym kawałku ziemi i o przyczynach pojawienia się tworu państwowego nieuznawanego przez społeczność międzynarodową.

To ważny temat, ponieważ dotyczy pierwszego poważnego konfliktu zbrojnego na europejskim terytorium byłego ZSRR, a drugiego konfliktu w ponadto drugi po wojnie w Jugosławii militarny konflikt w Europie w drugiej połowie XX wieku. Wojny w Naddniestrzu nie można uznać za konflikt etniczny, gdyż prawie 40 proc. populacji Republiki Naddniestrzańskiej to całkiem lojalni wobec reżimu Mołdawianie, 26 proc. ludności to Ukraińcy, 24 proc. Rosjanie, a pozostałe 10 proc. to Bułgarzy, Żydzi, Gagauzi i Niemcy, którzy też nie są „piątą kolumną”. Nie jest to również konflikt wyznaniowy, ponieważ wszystkie strony konfliktu są wyznania prawosławnego, również Gagauzi.

Choć Naddniestrzanie walczyli pod hasłami socjalizmu, to w wojnie po ich stronie brały też udział siły prawicowe, jak chociażby ochotnicy z armii Kozackiej Czarnomorskiej i oddziały ukraińskich nacjonalistów (UNA-UNSO). Z drugiej strony, trudno uznać Mołdawian za przekonanych zwolenników demokracji i wolnego rynku – gospodarka Mołdawii znajdowała się wówczas w fazie przemian. W latach 1990-2000 polityczne strony okazywały większą nienawiść sobie nawzajem niż wrogowi zewnętrznemu; podobnie wyglądała scena polityczna w Polsce w 2019-2020 r.

Warto dodać iż Mołdawia jako księstwo istniało już od dawna. W ostatnich stuleciach była podzielona między Rosyjskie i Osmańskie imperium, a od 1922 roku należała do Związku Radzieckiego. W latach 1945-1955 w Mołdawii działała antyradziecka opozycja, jednak została stłumiona przez NKWD. Przywódcy Związku Radzieckiego widząc prorumuńskie nastroje wśród Mołdawian z premedytacją narzucało temu narodowi cyrylicę i alternatywną wersję historii.

Jednakże podczas „pierestrojki” Gorbaczowa (1986-1989), sytuacja się zmieniła. W Mołdawii odrodził się prorumuński ruch nacjonalistyczny – antysemicki i antykomunistyczny. Wiosną 1989 r. nacjonaliści rozpoczęli dyskusję o języku narodowym i państwowym w kraju. Należy pamiętać, że język mołdawski został uznany za jedyny język państwowy. W Naddniestrzu (lewy brzeg Dniestru), było tyle samo Rosjan, Ukraińców i Mołdawian. Język mołdawski nie był rodzimym językiem 60 proc. mieszkańców regionu. Mieszkańcy Naddniestrza w manifestacjach domagali się uznania trzech równoprawnych języków państwowych – rosyjskiego, ukraińskiego i mołdawskiego.

W odpowiedzi na utworzenie przez mołdawskich nacjonalistów Frontu Narodowego Mołdawii w Naddniestrzu powstał ruch internacjonalistyczny (Unitate-Unity). Sytuacja stawała się napięta. Do eskalacji konfliktu doszło w sierpniu 1989 roku, kiedy mołdawscy nacjonaliści rozpoczęli pierwsze masowe akcje uliczne.

Od maja 1990 roku rozpoczęły się zbrojne starcia między jednostkami samoobrony Naddniestrza a członkami Frontu Narodowego Mołdawii. W czerwcu 1990 roku została ogłoszona Rumuńska Republika Mołdawii, a trochę później we wrześniu – Naddniestrzańska Mołdawska Socjalistyczna Republika Radziecka. Niewykluczone, że rosyjscy komuniści mogli ekonomicznie wspierać powstańców Naddniestrza, chociaż oficjalna władza Kremla, wtedy reprezentowana przez Gorbaczowa, żadnej ze stron nie wspomagała.

Godne uwagi jest również powstanie trzeciej strony – Republiki Gagauzji, na południu Mołdawii. Narodowość Gagazji to potomkowie, według jednej wersji Pieczyngów, według drugiej Oguzow, według trzeciej „czarnych Turków”, ludu mówiącego po turecku, wyznania prawosławnego, w ciągu wieluset lat domagających się niepodległości i suwerenności. Należy zaznaczyć, że w pierwszych latach XXI wieku Gagauzi wreszcie otrzymali ustawę o Specjalnym Statusie Gagauzji w granicach republiki Mołdawii.

W 1991 roku na terytorium Naddniestrza przebywały małe odziały rosyjskich wojskowych a później także ukraińskich nacjonalistów. Początkiem poważnego konfliktu zbrojnego stały się wydarzenia z 2 marca 1992 roku, kiedy oddział wojskowej policji Mołdawii został zaatakowany przez 14. Pułk Armii Federacji Rosyjskiej. Należy zaznaczyć, że pułk ten został rozwiązany do czasu uzupełnienia „kadry”, czyli pozostali w nim tylko oficerowie. Dlatego oficerowie i gwardziści Naddniestrza, a także Kozacy stawiali opór przeciwnikom. Mołdawscy wojskowi otworzyli ostrzał rakietowy i artyleryjski w kierunku Dubossary i Grigoriopol.

Warto podkreślić, że ukraińscy nacjonaliści i rosyjskie oddziały wojskowe były rywalami politycznymi, lecz mimo wszystko zjednoczyły się wtedy do walki ze wspólnym wrogiem. Ogółem siły uzbrojonych ukraińskich nacjonalistów (nie licząc setek innych ochotników z Ukrainy) po stronie Naddniestrza, szacowano na ponad 1500 żołnierzy. Najbardziej znaczące dla Ukraińców były pozycje pod Dubosarami, gdzie bitwy toczyły się niemal bez przerwy. Ukraińscy nacjonaliści przekroczyli rzekę Dniestr w okolicach Rybińska, co wzmocniło Naddniestrze. Mówiąc inaczej za sprawą Ukraińców z UNA-UNSO zdobyto wiele strategicznych dla powstańców z Naddniestrza pozycji.

Ciekawy fakt – po stronie Naddniestrza stanął ukraiński nacjonalista i znany publicysta Dmytro Korczyński. Również powstańców z Naddniestrza wspierał prokremlowski wojskowy polityk, Igor Strełkow (Girkin). Tak się jednak złożyło, że w obecnym konflikcie na wschodzie Ukrainy, obaj znajdują się po przeciwnych stronach. Również w historii konfliktu na długo zostanie zapamiętany dowódca 14 Armii Federacji Rosyjskiej – generał Aleksander Lebiedź. Zbrojny konflikt w Naddniestrzu i jego szybkie rozwiązanie bez wątpienia wpłynęło na umocnienie autorytetu Lebiedzia. Do dzisiaj generał jest uznawany w Naddniestrzu za „swojego chłopa” i wyzwoliciela.

W drugiej połowie czerwca 1992 roku miał miejsce nagły szturm Mołdawian na miasto Bendery, jeden z najkrwawszych epizodów tej wojny. Walczący wspólnie rosyjscy żołnierze, Kozacy-ochotnicy i milicja Naddniestrza odparli atak i zdobyli miasto. To była prawdziwa wojna na dużą skalę, wykorzystano ciężkie pojazdy pancerne, samoloty bojowe, artylerię, i miny przeciwczołgowe. Trwały konflikt zbrojny w Mołdawii wywołał oburzenie lewicy, która zażądała dymisji prezydenta i rządu. W Kiszyniowie, stolicy Mołdawii, zaczęły się rozruchy. W lipcu 1992 r. w Moskwie ówczesny prezydent Mołdawii M. Snegur i prezydent Rosji B. N. Jelcyn podpisali umowę w sprawie podstawowych zasad rozstrzygnięcia konfliktu zbrojnego w Naddniestrzu. 1 sierpnia 1992 roku konflikt się zakończył.

Konflikt w zasadzie do niczego nie doprowadził oprócz ofiar wśród wyznawców prawosławia. Mołdawia później wybrała kurs na integrację europejską, Naddniestrze wciąż nie ma konkretnych preferencji polityki zagranicznej, ponieważ socjalizm w radzieckim wydaniu należy już do przeszłości. Republika nadal nie jest uznawana na arenie międzynarodowej. Tymczasem obywatele obu państw na ogół nie czują do siebie wrogości ani nienawiści. Problemy istnieją tylko w relacjach elit politycznych. To dowód, że wojna bezcelowa.

Warto zaznaczyć, że w dużej mierze spowodowała ją niska kultura polityczna obywateli byłego ZSRR (homo-sovieticus).

Splunięcie na Polskę

Krzysztof Brzechczyn

■ Podczas sobotniej manifestacji zorganizowanej przez strajk kobiet Marta Lempart wykrzykiwała w stronę policji: ***„Imię, nazwisko i numer służbowy. Taka z was k…a plicja, tfu! Prawa nie stosujecie w ogóle! Ostatnia stąd wyjdę. Będziecie tu stali jak frajerzy do jutra jak chcecie. Wyp…ć!”***

Splunięcie Marty Lempart w stronę policjanta – pomimo dość bliskiej odległości nie udało jej się opluć stróża prawa (była w maseczce) – jest symbolicznym splunięciem na państwo polskie i demokratyczny porządek. Jest splunięciem na przeszło 20 mln Polaków, którzy uczestnicząc w wyborach 2019 i w 2020 roku zadecydowali, że sprawy polskie będą rozstrzygać się w publicznej debacie – może, i ułomnej i powierzchownej, lecz nie na ulicy i nie w obrzucaniu się wyzwiskami i wulgaryzmami.

Jak to z prawami wyborczymi dla kobiet było?

Szczególnie osobliwie został wybrany termin sobotniej demonstracji oddający swoistą schizofrenię polityczną organizatorek. Według prawie zgodnych zapowiedzi massmediów, i tych opozycyjnych, i tych sprzyjających obozowi Zjednoczonej Prawicy 28 listopada miał być obchodzony jako dzień wywalczenia przez kobiety praw wyborczych. Problem w tym, że praw wyborczych kobiety nie musiały wcale „wywalczać”. Wystarczyło jedynie wywalczyć niepodległość. Przygotowaniami do organizacji wyborów powszechnych zajął się powołany przez Radę Regencyjną rząd Józefa Świeżyńskiego, ziemianina i zarazem sympatyka Narodowej Demokracji. Złożona z konserwatywnych polityków Rada Regencyjna w odezwie wydanej 5 listopada 1918 zapowiedziała zwołanie już pod koniec roku pierwszego posiedzenia Sejmu wyłonionego w wyborach powszechnych. Zwolennicy Józefa Piłsudskiego, działacze Polskiej Partii Socjalistycznej i Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie” 7 listopada 1918 r. powołali w Lublinie Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej, którego premierem został Ignacy Daszyński. Rząd w swoim „Manifeście” obiecywał: „Sejm Ustawodawczy zwołany będzie przez nas jeszcze w tym roku bieżącym na podstawie powszechnego, bez różnicy płci, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego głosowania”. Po powrocie Józefa Piłsudskiego z Magdeburga, Daszyński podał się do dymisji, a 18 listopada premierem został postrzegany jako bardziej kompromisowy Jędrzej Moraczewski, który dziesięć dni później ogłosił pięcioprzymiotnikową ordynację wyborczą, która – jeśli wierzyć historykowi Jerzemu Ajnenkielowi (Od rządów ludowych do zamachu majowego) – przygotowana była … przez konserwatywny rząd Józefa Świeżyńskiego.

Powstaniu niepodległego państwa – któremu dzisiaj służy opluty przez Lempart policjant – towarzyszyło, oprócz powszechnego prawa wyborczego, wprowadzenie pakietu reform socjalnych obejmującego prawo do zakładania związków zawodowych, ośmiogodzinny dzień pracy, ubezpieczenia zdrowotne, płacę minimalną, co zatamowało bolszewicką demagogię.

Jak działa demokracja?

Sobotnie demonstracje były dalszym ciągiem protestów przeciwko, które po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie dopuszczalności przerywania ciąży odbyły się w całym kraju. Jednakże towarzyszące im wulgaryzmy i akty wandalizmu na murach budynków kościelnych w połączeniu z zapowiedzią prezydenta o wprowadzeniu kompromisowej nowelizacji ustawy przyczyniły się do spadku popularności protestów. Pewną rolę odegrały wypowiedzi liderek strajku kobiet, które nie kryły, że celem akcji jest obalenie rządu. Powstała na początku listopada Rada Konsultacyjna Strajku Kobiet zapoczątkowała instytucjonalizację protestu. Rada opracowała program obejmujący postulaty od likwidacji umów śmieciowych do powstrzymania zmian klimatycznych. W wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej” Marta Lempart i Klementyna Suchanow, zapowiedziały: „Po PiS będziemy mieć tymczasowy rząd techniczny pod kontrolą obywatelską, nie partyjną. Rząd ekspercki, z bardzo ograniczonymi możliwościami i konkretnie określonymi zadaniami wyprowadzenia nas z bagna. Będą w nim ludzie robiący rzeczy, w tym być może także osoby będące politykami. Tylko pod warunkiem, że potrafią zapie…lać”.

Co się kryje pod hasłami „wypier.…ć”, „je… PiS” i „zapie…lać”? W rzeczy samej wyraża się w nich pogarda wobec zasady demokracji, na którą tak lubią powoływać się organizatorki protestu i popierające je opozycyjni posłowie oraz programowa mizeria.

Według Samuela Huntingtona: „Centralną procedurą w demokracji jest wybór przywódców przez lud, którym będą rządzili, w drodze konkurencyjnych wyborów” (tenże, Trzecia fala demokratyzacji, Warszawa 1995, s. 16). Demokracja opiera się na przeprowadzanych cyklicznie równych, uczciwych i konkurencyjnych wyborów, w trakcie których kandydaci z poszczególnych partii – w oparciu o przygotowany program polityczny – swobodnie konkurują o głosy wyborców. W demokracji wyborcy nie decydują bezpośrednio w konkretnych sprawach, lecz wybierają tych posłów z tych partii, które przygotowały wiarygodną ofertę programową. Pojmowana w ten sposób demokracja nie jest wcale doskonałym ustrojem, w którym bezpośrednio wyraża się wola ludu, lecz ustrojem, w którym wynik wyborów oddaje preferencje większości biorącej w nich udział.

W swoim wyborze obywatele mogą podjąć błędną decyzję i/lub poparta przez nich partia nie zrealizuje złożonych obietnic. Może tak się złożyć, że żadna z ofert programowych nie odpowiada w pełni oczekiwaniom wyborców, którzy stają wtedy przed dylematem wyboru „mniejszego zła”. Poparcie zarówno dla władzy, jak i dla opozycji nie jest dane raz na zawsze. Szansą opozycji jest przekonanie do siebie wyborców, by w następnych wyborach poparli właśnie ich. Jednakże warunkiem odniesienia przez nią zwycięstwa w kolejnych wyborach jest przedstawienie merytorycznej krytyki rządzących i wiarygodnej oferty programowej.

Czy demokracja działa w Polsce ?

Tak zdefiniowana demokracja działa również w Polsce. W wyborach parlamentarnych 2019 r. wzięło udział 18 678 457 osób (61,74 proc.). Wybory do parlamentu wygrało Prawo i Sprawiedliwość, na które głosowało 8 051 935 osób (43,59 proc.), Koalicję Obywatelską – 5 060 355 (27,40 proc.), Sojusz Lewicy Demokratycznej – 2 319 946 (12,56 proc.) Polskie Stronnictwo Ludowe – 1 578 523 (8,55 proc.), a Konfederację – 1 256 953 (6,81 proc.). Z kolei wybory do senatu w 2019 r. wygrała opozycja, zdobywając łącznie 51 mandatów, a PiS – 48. Koalicja Obywatelska zdobyła 43 mandaty, PSL – 3 mandaty, SLD – 2, koło senatorów niezależnych – 3 (w tym jeden mandat senatorski popierany przez PiS) oraz jeden senator jest niezrzeszony. Trudno uznać, że odbywające się w tym samym dniu wybory do Sejmu były niedemokratyczne, a wybory do senatu – demokratyczne. Chyba, że się uzna metodę definiowania Kalego: „Demokracja jest takim ustrojem, w którym my zawsze wygrywamy. Jeżeli przegrywamy to demokracja przemienia się w dyktaturę”.

Czy hasła „wypier.…ć”, „je… PiS” oraz inne wykropkowane słowa i sformułowania stanowią na tyle atrakcyjną ofertę wyborczą, że mogą za trzy lata przekonać około 9-10 mln osób, które w wyborach nie biorą udziału oraz około 8-10,5 mln wyborców Prawa i Sprawiedliwości. Śmiem wątpić.

Poznań, 30 listopada 2020

Niszczenie polskiej energetyki

Adam Maksymowicz

▪ Proces ten rozpoczyna się od pozornie sensownej transformacji energetycznej. Ze względu na politykę klimatyczną rezygnujemy z energetyki opartej na węglu kamiennym i brunatnym. Mamy plan jej zastąpienia Odnawialnymi Źródłami Energii oraz budową elektrowni jądrowych. Plan ten na ogół jest powszechnie akceptowany.

Rzeczywistość jest jednak całkiem inna. Polega ona na tym, że rezygnacja z paliw kopalnych następuje natychmiast, nie czekając na żadne uzupełnienia mocy krajowych z innych źródeł energii. To wszystko przypomina propagandę PRL. Przyszłość będzie wspaniała, ale dzisiaj musimy zaciskać pasa, aby w przyszłości było nam lepiej. Tak też i jest z polską energetyką. Przykładem tej polityki są podejmowane próby natychmiastowego zamknięcia Kopalni Węgla Brunatnego „Turów".

Apel europosłów

Ogłoszony 19 listopada apel „Europa i Polska muszą powstrzymać negatywne skutki działalności Turowa oraz zapewnić sprawiedliwość klimatyczną i sprawiedliwy dostęp do wody" skierowany do Międzynarodowej Komisji ds. Ochrony Odry przed Zanieczyszczeniem oraz do rządu Rzeczpospolitej i Komisji Europejskiej podpisało 23 eurodeputowanych, 25 posłów z Polski, Czech i Niemiec, także przez samorządowców i poparły go 52 organizacje pozarządowe z Europy. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że każde społeczne zaangażowanie ludzi zainteresowanych danym problemem jest godne pochwały i uznania. Są wszakże podstawowe warunki publicznej prezentacji tegoż zaangażowania. Podane argumenty winne być merytorycznie uzasadnione, udowodnione i pokazane w tego rodzaju dokumencie. Jest oczywiste, że im wyższa społeczna i polityczna ranga osób podpisujących tego rodzaju oświadczenia, tym większa winna być ich merytoryczna zawartość i wiarygodność. Trzeba stwierdzić, że wspomniany apel nie spełnia żadnego z tych wymagań. Natomiast odpowiada on politycznemu stanowisku jego sygnatariuszy, dla których podstawową wartością jest uzyskanie demokratycznej większości. W merytorycznej debacie na temat wpływów kopalni Turów na odwodnienie pobliskich terenów stanowisko powinni zająć eksperci, a są nimi hydrogeolodzy, czyli specjaliści od przepływów wód podziemnych. Jednak hydrogeologów nikt nie pyta o zdanie, ani w Polsce, ani w Czechach, ani w Niemczech. To wygląda tak, jakby w leczeniu pandemii pominąć lekarzy, ale wszystko pozostawić demokratycznemu głosowaniu środowisk politycznych, samorządowych i artystycznych oraz wszelkich innych.

Vivat Akademia!

Krakowska Akademia Górniczo-Hutnicza (AGH) do ponad stu lat swego istnienia zajmuje się wpływem górnictwa na jego otoczenie. Podsumowaniem jej dorobku w kontekście wpływu górniczej eksploatacji złóż na poziomy wód użytkowych jest monumentalne trzytomowe, elegancko wydane dzieło „Hydrogeologia polskich złóż kopalin i problemy wodne górnictwa" o objętości 1300 stron, w części poświęcone KWB „Turów". Pozycja ta została wydana w 2003 roku, a więc jeszcze przed protestami dotyczącymi negatywnego wpływu kopalni na wody podziemne. Nie można jej więc posądzać o naukową stronniczość w tej sprawie. Dzieło to znane naukowcom obu sąsiednich państw, nigdy nie spotkało się z protestami z ich strony. Na str. 554 pierwszego tomu, udowodniono, że lej depresyjny rozwija się tylko po południowej stronie kopalni, która w całości znajduje się po stronie polskiej. Dzieje się tak, pomimo, że osiąga on głębokość 180 m, dlatego że wodonośne warstwy trzeciorzędowe, które odwadniane są podczas eksploatacji węgla po prostu dalej już nie występują. Warstwy wodonośne czwartorzędu (czyli przypowierzchniowe) z uwagi na oddzielającą je od drenowanych warstw trzeciorzędowych grubą warstwę nieprzepuszczalnych iłów, znajdują się na przeważającym obszarze poza wpływem odwadniania.. Tyle w wielkim skrócie mówi nauka o wpływie odwadniania KWB Turów na poziomy użytkowe wód podziemnych. Dodać do tego trzeba kwestię jakości tych wód. Można domyślać się, że skierowanie apelu do Międzynarodowej Komisji ds. Ochrony Odry przed Zanieczyszczeniem sugeruje, że chodzi tu o zanieczyszczenie jej przez wody odprowadzane z kopalni Turów. Teoretycznie byłoby to możliwe. Jednak, jak wskazano w opracowaniu AGH, wszystkie wody odprowadzane do Nysy Łużyckiej nie przekraczają ustalonych norm jakości.

Naukowe fantazje

To, o co posądzają kopalnię „Turów" eurodeputowani i ich sprzymierzeńcy, to nic innego, jak fantazje. Oczywiście fantazje są dozwolone i nie są karalne, a nawet mają swój urok intelektualnej rozrywki. Dotyczy to świata sztuki, filmu, teatru i podobnych inscenizacji. Futurologia przemysłowa i gospodarcza też ma swoje miejsce i budzi nawet powszechne zainteresowanie. Tu nikt nie wymaga ścisłych danych i dokładnie udokumentowanych faktów. Jednak nawet w tej dziedzinie obowiązuje zasada logicznego rozumowania. Tymczasem we wspomnianym wyżej apelu tego nie ma. Polityka to zupełnie coś innego niż sztuka, szczególnie surrealistyczna i abstrakcyjna. Dlaczego stwierdzenia apelu trafiły do tej kategorii? Ano dlatego, że warstwy wodonośne związane z odwodnieniem kopalni nie występują już dalej poza Workiem Turoszowskim. Już sama nazwa Niecki Turoszowskiej na to wskazuje. Co gorsza, nie mają one żadnych kontaktów z innymi warstwami wodonośnymi (poza tą Niecką), na które mogłoby wpływać to odwodnienie. Skąd zatem twierdzenie w apelu, że „…chodzi o stan w dorzeczu Odry i na przybrzeżne wody Bałtyku"? Sugestia jest taka, że kopalnia odwadnia zarówno dorzecze Odry, jak i wybrzeże Bałtyku. To nie jest w apelu niczym uzasadnione. Apel nie powołuje się na naukowe studia, opracowania i analizy naukowe, których opracowano dziesiątki. Naukę można ignorować, ale niezbyt dobrze świadczy to o tych, którzy zajmują się tym problemem.

O co chodzi?

O ile od strony naukowej wskazane w omawianym apelu zagrożenia wynikające z odwodnienia kopalni Turów, to nieporozumienie, to jednak od strony politycznej jest to realna ofensywa zmierzająca do natychmiastowego zamknięcia kopalni. Likwidacja kopalni Turów, to jednocześnie wyłączenie z ruchu elektrowni opalanej węglem brunatnym. Elektrownia „Turów" posiada moc 1498 MWe, co stanowi ok. 3 proc. krajowej mocy oraz ok. 5 proc. mocy elektrowni zawodowych i cieplnych. Obecnie importujemy ok. 10 proc. energii elektrycznej. Sytuacja ta zmusi nas do jeszcze większego importu tej energii. Na razie tej energii nie mamy czym zastąpić. Energia z elektrowni jądrowej, będzie dopiero za kilkanaście lat, jeśli wszytsko dobrze pójdzie. OZE natychmiast i w tym tempie nie wzrośnie. Import to nie tylko zwiększone wydatki i uboższy budżet, to także utrata miejsc pracy. Te wymyślone argumenty przeciwko kopalni „Turów", wskazują na wyrachowane działania w kierunku zwiększenia naszego importu energii już dzisiaj, bez czekania na jakąś udaną transformację. To smutne, że w tych działaniach biorą udział polscy politycy i samorządowcy, którzy jakby nier zdawali sobie sprawy o co chodzi.. Chodzi o pieniądze. Również nasze osobiste dochody, które w związku z tym proponuje się uszczuplić, podwyższając ceny energii elektrycznej w granicach ok. 10 proc. Jest to konieczne, mimo, że jej ceny w Polsce należą do najwyższych w UE.

Zapowiedź strajku

Jakby tego było mało, nad polską energetyką wisi widmo strajku energetyki opartej na węglu brunatnym. Związki zawodowe sprzeciwiają się likwidacji tego sektora energetyki. Dzień później po wspomnianym „apelu" zakończono referendum w sprawie strajku – 90 proc. poparło strajk. Węgiel brunatny dostarcza do sieci ok. 25 proc. krajowej energii. Nie można go importować ze względu na półpłynną koegzystencję. Wstrzymanie dostaw tego paliwa jest stosunkowo łatwe. Kopalnie eksploatują węgiel brunatny przy pomocy kilku gigantycznych koparek obsługiwanych przez jednego operatora. Wystarczy, że kilku z nich odmówi pracy, natychmiast cała kopalnia i elektrownia przestają pracować. Rzą,d jakby przewidywał ów konflikt, bo z roku na rok zwiększał dostawy z importu, obniżając pobór energii z elektrowni na węglu brunatnym. Ubytek energii z węgla brunatnego ma być zastąpiony energią jądrową. Jak dobrze pójdzie, to za 13 lat owe 6-9 GW otrzymamy, co wyrówna poniesione straty. Istotne jest jednak to, że już dzisiaj tych megawatów będzie nam brakować, akurat w zimie.

Meteorolodzy pocieszają, że nie będzie tak źle, gdyż zima ma być łagodna. Dlatego okresowe wyłączenia energii mogą nie być tak dokuczliwe. I na razie jest to najpomyślniejsza wiadomość.

Mikołajowi komedianci

Jerzy Pawlas

▪ Wspaniałomyślność nadopiekuńczego państwa epidemicznego sprawia, że pomocy oczekują wszyscy, bez podjęcia próby samodzielnego wyjścia z sytuacji.

Przedsiębiorcy skwapliwie konsumują tarczę antykryzysową, ale wciąż narzekają, że firmom grozi bankructwo. Tymczasem na ich kontach bankowych nadal szokuje imponująca kwota – ponad 250 mld zł. Łatwiej – jak widać – oczekiwać pomocy państwa, niż sięgnąć po zaskórniaki, czy ograniczyć poziom luksusowego życia. Niemniej jednak, skoro rośnie produkcja i zarobki, a bezrobocie jest najniższe w historii, to z tego wynika, że na pandemii (i tarczy antykryzysowej – w końcu to ponad 150 mld zł) można się dorabiać.

Tymczasem wyrozumiały rząd przekazał 300 mln zł na sfinansowanie tzw. kosztów informatycznych, poniesionych przez nauczycieli, pracujących w trybie nauki zdalnej. Aż trudno uwierzyć, że po wielokrotnych podwyżkach nie stać nauczycieli na zakup myszki czy klawiatury. No, ale trafiła się okazja na modernizację sprzętu.

Chociaż kulturę zawłaszczyła lewica, prześcigając się w antyrządowych wypracowaniach, to też wyciąga ręce po państwowe wspomożenie, w dodatku utyskując, że oczekiwała na pomoc już od początku pandemii (po pierwszym lockdownie). Bo teraz – podobno – tysiące ludzi kultury walczy o życie, nie ma na chleb, szeregowi pracownicy branży kulturalnej pozostali bez środków do życia.

Podobno kultura znalazła się w szczególnie dramatycznej sytuacji – co tam gospodarka, służba zdrowia, szkolnictwo czy przeciętni obywatele. Tymczasem – nie zaglądając nikomu do kieszeni – „biedni artyści" mają programy telewizyjne (po kilkanaście tysięcy złotych), tantiemy z ZAIKS (nawet milion złotych rocznie), nie mówiąc o kontach bankowych, rezydencjach, samochodach, jachtach. I jakoś nikt nie zastawia nieruchomości, nie sprzedaje jednego z flotylli samochodów – by przeżyć.

Chociaż kwiaty doniczkowe można sprzedawać tygodniami, to przycmentarni handlarze skrzętnie zainkasowali 80 mln zł rządowej rekompensaty. Szacuje się, że w branży artystycznej pracuje ok. 300 tys. twórców, którzy ryzyko wykonywania wolnego zawodu chętnie scedowaliby na budżet (podatnika). Wielu z nich to barbarzyńcy, prowokatorzy, terroryści polityczni (nie mówiąc o chałturnikach), ale wszyscy chcieliby uprawiać toksyczne pasożytnictwo. Nawet teraz, gdy można przecież dorabiać na protestach feministek (chamskie hasła przejdą zapewne do historii).

Widzimy coraz więcej przykładów artystycznej ekspresji. Fotoreporterka performuje – kopiąc i oślepiając fleszem policjanta, manifestanci prześcigają się w obrażaniu i poniżaniu stróżów porządku publicznego, wykazując niezwykłą pomysłowość i wyobraźnię. Jak widać, w niemałym stopniu do rozwoju ulicznej sztuki krytycznej przyczyniły się antyrządowe proaborcyjne feministki. Być może bojówkarskie dziennikarstwo, tak jak poczynania strajkujących feministek, zyskają status działalności artystycznej. Ambitni antyrządowi performerzy mogliby wówczas starać się o resortowe wsparcie.

Pieszczochy ponadsystemowe

Znany reżyser dekoruje się w czasach PRL orderem Sztandaru Pracy I klasy. Znany kompozytor w mrocznych czasach po stanie wojennym przyjmuje wysokie odznaczenie od sprawcy tego stanu. Znany aktor deklamuje klasyka pod Gdańskimi Krzyżami podczas „karnawału Solidarności", by teraz postponować prawicowy rząd, wyłoniony w demokratycznych wyborach, z trudem realizujący niegdysiejsze postulaty związkowców.

Kiedyś mówiło się o sztuce dworskiej. Aktorzy-komedianci grali tak, jak im płacono. Teraz mówi się o artystach zaangażowanych, postępowych – też dobrze opłacanych. Ich produkcja, często niewybredna i nie przyciągająca publiczności, a zawsze antytradycyjna, antypaństwowa – jest finansowana z budżetu (nie można przecież nikogo dyskryminować). Wystarczy wspomnieć choćby ambitne rozgrywki roszczeniowe Krystyny Jandy.

Mijają dziesięciolecia, zmieniają się ustroje, a żywe pomniki estradowe wciąż tłuką kasę. Serialowym aktorom też dobrze się powodzi, a jeszcze dorabiają krocie w reklamie. Dlatego 400 mln Fundusz Wsparcia Kultury wzbudził takie kontrowersje – dotować gwiazdy muzyki pop i disco, czy wypłacać zasiłki dla bezrobotnych. Popierać subkulturę celebrycko-roszczeniową czy pomagać rzeczywiście poszkodowanym przez pandemijne zamrożenie życia kulturalnego?

Pojawiły się więc pytania – dlaczego podatnicy (również dotknięci dolegliwością korona-kryzysu) mieliby finansować artystów, o zamożności których krążą legendy. Czy w tej sytuacji nie wystarczyłoby im wsparcie w postaci minimalnej płacy – jeżeli w ogóle. A tak dostaną na Mikołaja budżetowe prezenty.

Podziały i nieporozumienia

Ogłoszenie listy beneficjentów Funduszu Wsparcia Kultury (ponad 2 tys. podmiotów z branży artystycznej, ewentowej i rozrywkowej) wzburzyło środowisko, jak nigdy przedtem. Protesty i wzajemne oskarżenia (lewica, że prawica prorządowa, prawica, że lewica antyrządowa), zarzuty nieobiektywnego rozdziału, spowodowały, że resort wstrzymał wypłaty do czasu wyjaśnienia wszelkich wątpliwości. Sporządzony przez niego algorytm dystrybucji środków pomocowych – zdaniem protestujących – nie sprostał realiom rzeczywistości, która okazała się bardziej skomplikowana, niż wyobraźnia urzędników.

Bo jak tu dotować znane kabarety, które dobrze zarabiały, więc chyba pandemia nie wyczerpała ich zasobnej kasy. Jak wspierać prowadzących sady oliwkowe czy winnice, bądź piosenkarzy znanych na zagranicznych rynkach. W tej sytuacji niektórzy estradowcy odcięli się – „nie chcą ukradzionych pieniędzy". Inni twórcy – pracujący na umowę o dzieło lub zlecenie – poczuli się niedocenieni i pokrzywdzeni.

Rozgorzała więc ogólna kłótnia środowiskowa. Trzeba jednak przyznać, że powszechnie krytykowany ministerialny algorytm nie mógł przecież zadowolić wszystkich – twórców, wykonawców i personel pomocniczy (w końcu każdy ma swoje interesy). Nie mógł też zastępować ludzkiej wrażliwości czy wyobraźni – czego oczekiwali po nim niektórzy artyści – bo one są niemierzalne, nieprzeliczalne na pieniądze. Choć nie brakuje też propozycji kompromisowych – wprowadzenia mechanizmu solidarnościowego. Bogaci otrzymaliby proporcjonalnie mniej, biedni więcej. Taka osobliwa sprawiedliwość społeczna.

Z drugiej strony – podobno cwaniacy, prowadzący szeroko pojmowaną artystyczną działalność gospodarczą – wykorzystali już tarczę antykryzysową. Resortowe wsparcie może więc być okazją do łatwego zarobku. To nie będzie rekompensata za poniesione straty, za utracone zyski. Tymczasem zapomniano o patologicznych okolicznościach – przecież artystów wyzyskują różnego rodzaju operatorzy, pośrednicy, załatwiacze, technicy. Kto więc jest bardziej stratny z powodu pandemii.

Poza tym niektóre firmy niewiele wspólnego mają z działalnością kulturalną, pełniąc funkcje usługowe, techniczne, doradcze, marketingowe. Co więcej, jeżeli dotować celebrytów, to co z pracownikami obsługi i ich rodzinami. Zresztą, czy celebryci powinni sięgać po wsparcie – przecież to demoralizujące. Ostatecznie pozostaje już tylko oskarżenie – resort nie wie, kto potrzebuje pieniędzy.

Racje resortowe

Ujawniła się struktura organizacyjno-biznesowa branży artystycznej, czy szerzej – przemysłu kulturalnego, rozbudowana i skomplikowana, bo też twórcom nie brakuje wyobraźni, tak jak inwencji w pozyskiwaniu państwowych funduszy. Resort musiał to uwzględnić. Stąd w głośno krytykowanym algorytmie, precyzyjnie określił warunki pandemijnego wsparcia.

Straty firm czy artystów oblicza się w stosunku do przychodów w 2019 roku. Brane są pod uwagę wyłącznie pieniądze wydatkowane na działalność artystyczną, udokumentowane fakturami. Rekompensata będzie obejmowała 40-50 proc. poniesionych strat i pomniejszonych o otrzymane wsparcie antycowidowe. Wnioski o pomoc – po burzy środowiskowej i medialnej – będą weryfikowane. Trzeba wykluczyć nierzetelne szacunki, zawyżone straty.

Fundusz Wsparcia Kultury jest fragmentem tarczy antykryzysowej. Jego podstawowy cel to utrzymanie zatrudnienia. Jak wiadomo, zlikwidowane firmy trudno odbudować. Artyści często są swoistymi przedsiębiorcami (zatrudniają pracowników scenotechnicznych, menedżerów, marketingowców). Jednak – wbrew obawom – to nie oni zgarną wsparcie, lecz muszą je rozdzielić pomiędzy współpracowników. Oskarżanie resortu, że preferuje celebrytów, okazało się bezpodstawne.

Resortowe wsparcie nie jest pomocą socjalną. Jego celem jest aktywizacja rynku kulturalnego, stymulacja branży artystycznej. Pomoc należy się szczególnie takim dziedzinom produkcji artystycznej, jak muzyka, teatr, taniec. Imprezy nie mogły się przecież odbywać z powodu pandemii. Środowiskowe zarzuty o brak transparentności są nieprzekonujące.

Tym bardziej, że korona kryzys nie dla wszystkich wydaje się równie dotkliwy. Piosenkarze mogą wydawać płyty (koncertować on line), literaci książki (audiobooki). Niektórzy artyści zatrudnieni w instytucjach kultury, prowadzą firmy (działalność kulturalna), a nawet nocne kluby czy dyskoteki. Gorzej mają organizatorzy wesel, ewentów firmowych i plenerowych, czy wynajmujący namioty plenerowe – ale przecież oni też mogą otrzymać wsparcie resortowe.

W stronę polityki kulturalnej

Krytykujący resortowe rozwiązania pomocowe wskazują na budzące wątpliwości umieszczenie teatrów i filharmonii w jednym worku z agencjami impresaryjnymi. Wypominają, że dla firmy piosenkarza disco-polo przewidywano 520 tys. zł wsparcia, a dla Warszawskiej Opery Kameralnej – ok. 720 tys. zł. Inni zwrócili uwagę na kształtowanie (a właściwie jego brak) odbiorców kultury wysokiej (architektura, teatr, opera, filharmonia, plastyka), które ustępuje masowej rozrywce (piosenki, seriale).

Tym bardziej, że dla rozrywki przewidywano więcej pieniędzy, niż na instytucje kultury wysokiej, zaś oferta kulturalna jest wciąż na niskim (estradowym) poziomie. Jak widać, korona kryzys może stać się impulsem do zmiany finansowania sfery kultury, weryfikacji polityki kulturalnej, do rewizji funkcjonowania mecenatu państwowego.

Nie od dziś wiadomo, że ten, kto zawiaduje (zarządza) dziedziną kultury, ten określa sferę wartości, pojęć i znaczeń, poprzez którą społeczeństwo widzi świat (politykę, ekonomię). I tak kształtowany elektorat w demokratycznych wyborach wskazuje władzę.

To ona decyduje o polityce kulturalnej, a nawet więcej, o modelu cywilizacji – tradycyjnym, bazującym na odwiecznych wartościach, takich jak wolność, prawda, dobro i piękno, bądź postępowym – realizującym neomarksistowskie totalniactwo.

Wszystko nie tak, czyli strategia *na Hitchcocka*

Waldemar Żyszkiewicz
ZANIM WYŁĄCZĄ PRĄD

▪ Może zastanawiać, dlaczego zaraz po zaatakowaniu ludzkości przez wirusa SARS-CoV-2 niemal wszystkie władze polityczne i sanitarne demoliberalnych państw Zachodu, które deklarują przywiązanie do postawy naukowej, zachowują się irracjonalnie, tak jakby czegoś się obawiały lub czegoś nie wolno im było zrobić.

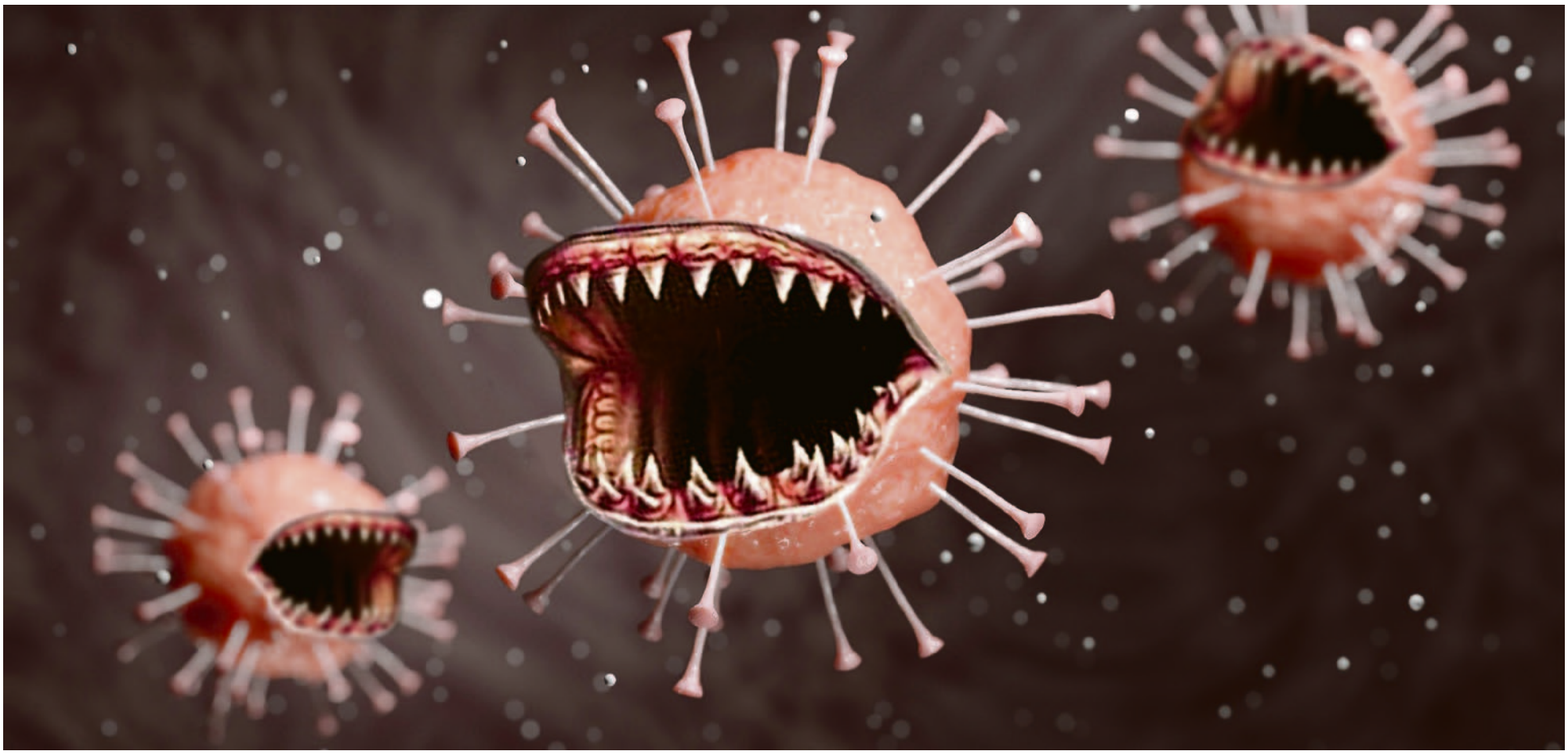

Już co najmniej od dekady znane postaci ze środowisk naukowych (głównie, ale niewyłącznie) Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza te związane EcoHealth Alliance oraz Światową Organizacją Zdrowia (WHO), a także z amerykańskimi megaoligarchami z kręgu Warrena Buffetta, George'a Sorosa czy Billa Gatesa, przepowiadały nadejście strasznej zarazy, coś na kształt ludobójczej grypy, tzw. hiszpanki, sprzed stu lat.

Na szkolenia, planowanie, konferencje i propagandę o nieuchronności tego zdarzenia poszły całkiem spore pieniądze. W USA w roku 2011 powstał film o sporym potencjale budzenia społecznych obaw i lęków przed zabójczym wirusem, ale przy okazji dość rzetelnie prezentujący pożądany schemat reagowania na taki rodzaj kryzysu. Sformułowane i przedstawione w filmie Stevena Soderbergha „Contagion. Epidemia strachu" zasady postępowania podczas zagrażającej światu pandemii wydają się całkiem oczywiste.

Po pierwsze, reagować jak najszybciej się da, bo lepiej popełnić błędy niż spóźnić się z działaniem i narazić na zarzut zaniechania. Po drugie, należy możliwie precyzyjnie rozpoznać zagrożenie, czyli ustalić rodzaj i pochodzenie wirusa, a zwłaszcza zidentyfikować pierwszy przypadek wywołanej przezeń choroby. Bo tylko wtedy, identyfikując dokładną ścieżkę oraz sposób przenoszenia się wśród ludzi, można skutecznie przerwać łańcuch zakażeń i propagację patogenu. Taki w zasadzie elementarz.

Pytanie więc, dlaczego w przypadku tzw. wirusa z Wuhan właściwie niemal wszystko (w świecie, poza Chinami) przebiegało inaczej. W znacznej mierze za sprawą spóźnionych, nierzetelnych, częściowo sprzecznych zaleceń WHO.

Zamiast brania na klatę – akwizycja szczepionki

Szybkie, zdecydowane, przypominające bardziej rygory stanu wojny niż procedury sanitarne działania dość autorytarnych władz chińskich (do pewnego stopnia zastosowane też w innych państwach Dalekiego Wschodu i w Australii) mocno kontrastowały z obrazem sytuacji, jaką kreśliły kolejne rozpoznania i dyrektywy WHO. Nawet uwzględniając nieuchronne błędy wczesnego okresu rozprzestrzeniania się wirusa, część niedoróbek, wynikających – jak się wydaje – z prochińskich preferencji kierownictwa tej organizacji oraz jej głównych sponsorów, mocno ułatwiła globalny pochód wirusowi SARS-CoV-2.

Ale te niemożliwe do uniknięcia błędy okresu wstępnego można by darować i puścić w niepamięć. Gdyby nie... No właśnie, problemem obostrzeń z pierwszego okresu nominalnej pandemii nie jest to, że były zbyt srogie czy nawet, że rujnowały społeczne i gospodarcze życie narodów Europy i obu Ameryk, lecz to, że okazały się skrajnie nieefektywne. Lub wręcz przeciwskuteczne. Ujmując rzecz jeszcze inaczej, wychodzi na to, że polityczno-sanitarne decyzje władz wielu państw Zachodu związane z wystąpieniem na ich terytorium choroby CoViD-19, przejawiły wyraźny brak racjonalności.

Niedobór namysłu nad realnością nowej choroby, owszem zaraźliwej, ale przecież nie tak groźnej, jak się początkowo wydawało, stał się czytelny zwłaszcza późną wiosną i latem. Zabrakło prób zmierzenia się z zagrożeniem opartych na zespołach czy think-tankach własnych epidemiologów-statystyków, wirusologów, specjalistów od chorób zakaźnych, a także pulmonologów, czyli lekarzy-praktyków, którzy lecząc pacjentów z nowej przypadłości, zdobyli sporo doświadczenia, co do przebiegu choroby, łagodzenia najgroźniejszych objawów, a zwłaszcza gaszenia infekcji jeszcze w jej wczesnym stadium.

Zabrakło też publicznej debaty nad nowym, powszechnym przecież zagrożeniem, zrezygnowano z zadawania wielu podstawowych pytań, których brak od początku rzucał się w oczy każdemu, kto choćby cokolwiek otarł się o porządne, naukowe metody konfrontowania się z tym, co nieznane. Takiej racjonalnej postawy wobec ataku nowego wirusa zabrakło właściwie we wszystkich krajach Europy, może z wyjątkiem Szwecji. Pełną parą ruszyła za to w mediach propaganda proszczepionkowa oraz godna Hitchcocka machina produkowania pośród „zamaskowanych" społeczeństw Europy i reszty świata paraliżującego wręcz poziomu lęku przed dziwnym, ale nie poddawanym racjonalnej analizie zagrożeniem.

Na Zachodzie tak zmasowana ofensywa medialna oparta na kilku, może kilkunastu hasłach-zaklęciach być może okaże się bardziej efektywna. W krajach Europy Środkowowschodniej, której narody zostały zaszczepione potężną dawką propagandy komunistycznej, nasilonej zwłaszcza za Stalina, na podobną podatność raczej liczyć nie należy. Tym bardziej że technologia ułatwia komunikację typu peer-to-peer, a tym samym rozchodzenie się także tych informacji, na które w mediach głównego nurtu nałożono embargo.

Niemal od początku do pozaestabliszmentowej opinii publicznej docierają przekazy wielu międzynarodowych specjalistów naprawdę wysokiej klasy o tym, że wirus SARS-CoV-2 jest najprawdopodobniej produktem laboratoryjnym, że nie jest wcale bardzo śmiercionośny, że przypadłości przez niego spowodowane należy i można leczyć, bo są w obiegu stosunkowo proste i tanie leki, które w porę zaaplikowane całkiem dobrze sobie z tą infekcją radzą. I że przede wszystkim nie ma najmniejszego sensu odkładać powrotu do normalności do czasu opracowania szczepionki.

Polityczne strusie, uczeni dysydenci i naukowcy-chorągiewki

Oczywiście po obu stronach tej medialnej barykady – irracjonalno-proszczepionkowej oraz zdroworozsądkowo-antyszczepionkowej – pojawiają się wypowiedzi przesadne, nadmiernie histeryczne, ale to normalne i zgodne z tzw. krzywą Gaussa. Może natomiast zdumiewać fakt, że ucze-

ni z ogromnym dorobkiem i skłonni przedstawiać swe racje publicznie, w sposób umożliwiający śledzenie ich argumentacji każdemu, także laikom, są dość konsekwentnie sekowani i wyrzucani na aut, podczas gdy inne nawet znane nazwiska brylują w mediach głównego nurtu, strasząc covidem, mamiąc szczepionkami i dość często zresztą zmieniając swe opinie, niekiedy o 180 stopni.

O politykach właściwie szkoda wspominać: na tle dynamicznej pro-covidowej propagandy chętnie kreują się na herosów zwalczania zarazy i/lub heroldów propagandy szczepionkowej. Jednak zapewne wbrew ich intencjom oraz nadziejom więcej widać w tym odruchów stadnych („bo inni też tak postanowili"), przejawów oczywistej niekompetencji oraz – co nie powinno dziwić – zwyczajnej dla ludzi z tej branży przesadnej dbałości o wizerunek oraz zatrwożenia o wynik następnych wyborów. Postawa „po nas choćby potop" nie umarła niestety wraz z poetą Stratonem z Sardes, autorem epigramatu, w którym po raz pierwszy owa myśl została wysłowiona.

Że przesadzam? Chyba jednak nie. Jeśli nawet problem pochodzenia wirusa – raczej z laboratoriów i to niewyłącznie chińskich niż od nietoperza z prowincji Yunnan – wydawał się politykom (z wyjątkiem Donalda Trumpa!) zbyt drażliwy, to już w żadnym razie nie da się wytłumaczyć rezygnacji z prób ustalenia przypadku numer jeden. A tego nie zrobiono ani w Chinach Ludowych, ani we Włoszech czy Francji. Tym razem WHO zupełnie na tę ponoć niezbędną procedurę nie naciskała, natomiast opinię publiczną karmiono bajeczkami o mokrych targowiskach, łuskowcach i zupie z nietoperza.

Skąd to dziwne, niegodne postawy naukowej zaniechanie? Czy obawiano się, że ustalenie pierwszego pacjenta może wskazać drogę do producentów patogenu? Czy po prostu nie było pacjenta numer jeden, bo pierwszy kontakt nowego wirusa z ludźmi miał miejsce podczas imprezy masowej? Zarówno we Francji, jak i we Włoszech pacjenci z nietypowym zapaleniem płuc tego rodzaju, z jakim zetknięto się później przy ciężkich przypadkach CoViD-19, pojawili się na już przełomie listopada i grudnia minionego roku. Przypadłości te wykryto u osób, które miały kontakt z uczestnikami, ewentualnie same brały udział w międzynarodowych igrzyskach wojskowych, rozegranych w drugiej dekadzie października 2019, akurat w Wuhan...

Zamiast krajowych badań generowanie lęku

Skoro jednak nie badamy pochodzenia wirusa, ani jego drogi do pierwszego zakażonego, to może byłoby warto realnie ustalić stopień rozprzestrzenienia się nowego patogenu wśród ludzi i rzetelnie określić związany z nim stopień zagrożenia. Jak to zrobić? Dość prosto: skoro na podstawie reprezentatywnej próbki rzędu 1000 do 1200 osób, jesteśmy w stanie dzięki badaniom typu exit poll określić stopień rozkładu decyzji wyborczych ponad dwudziestu milionów głosujących, to nie powinno być problemu z określeniem zasięgu wirusa wśród całej liczącej 38,5 miliona populacji.

Wystarczy przeprowadzić 2,5 tysiąca badań – ale wiarygodnych, na obecność przeciwciał, a nie tych powszechnie stosowanych testów RT PCR – na reprezentatywnej próbie Polaków i już będziemy wiedzieli, jaki odsetek populacji miał faktycznie kontakt z wirusem. I dopiero wtedy będzie można określić, jaka jest faktyczna śmiercionośność wirusa SARS-CoV-2. Bo przecież to, czym mejnstrimowe media dzisiaj karmią opinię publiczną, urąga elementarnej wiedzy z zakresu rachunku prawdopodobieństwa czy statystyki.

Zaraźliwość nowego patogenu i pozyskana już wiedza o nosicielstwie bezobjawowym, o licznych zakażeniach skąpoobjawowych (stany podgorączkowe, katar, pokasływanie, utrata węchu) i o przypadkach ciężkich, z zespołem ostrej niewydolności oddechowej – pozwala na sformułowanie hipotezy roboczej, że choroba CoViD-19 nie zasługuje na tak wielkie halo, jakie jej globalnie zafundowano. I tu zaczynają się prawdziwe schody: dla społeczeństw, którym zrujnowano życie w dotychczasowym kształcie oraz dla polityków, którzy mają za zadanie wzbudzić w swym elektoracie przemożną motywację do masowego poddania się szczepieniu czymś, co w tak krótkim czasie nie miało jeszcze prawa powstać.

W dodatku, mowa o szczepieniu preparatem nowego typu, opartym na całkiem odmiennej zasadzie działania, na którego testowanie nie było przecież dość czasu, bo pandemię CoViD-19 ogłoszono zaledwie 10 miesięcy temu. A tęgie głowy z WHO i okolic jeszcze pół roku temu mówiły o dwóch-trzech latach potrzebnych na wyprodukowanie skutecznej oraz bezpiecznej szczepionki. Trudno się więc dziwić, że co przytomniejsze osoby wzdragają się na samą myśl, iż wymaga się od nich podjęcia tak wielkiego ryzyka. Chyba że... – ale to hipoteza bardzo niepoprawna! – superszczepionka powstała już parę lat temu, jako produkt uboczny przy fabrykowaniu dość misternego wirusa.

Lepiej tanio leczyć niż drogo szczepić

W tej sytuacji może lepiej jednak leczyć niż szczepić. Bo przecież jest czym. Są dobrze znane i wypróbowane leki, ale i na bieżąco lekarze-praktycy oraz lekarze-klinicyści w wielu krajach poszukują skutecznej terapii na dolegliwości spowodowane któ-rymś z kolei wirusem odzwierzęcym, który tak jakoś nagle: hop... przeskoczył na człowieka. Tyle że lekarze, którzy chcą i potrafią leczyć z covidu, nie mają lekko, bo WHO pod Tedrosem Ghebreyesusem również czynnie włączyła się w akwizycję dumnych produktów Big Pharmy, eliminując skutecznie działające leki tradycyjne z tzw. schematu leczenia tej choroby.

Wyrazistym przykładem pozostaje też Anthony S. Fauci, dyrektor Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych (NIAID), który korzystając z zajmowanej od lat pozycji, skutecznie blokuje w USA leczenie chlorochiną i hydroksychlorochiną. Na naszym polskim podwórku odpowiednikiem postawy Fauciego, działającego niczym akwizytor wielkich koncernów farmaceutycznych, wydaje się konsekwentne ignorowanie terapii chlorowodorkiem amantadyny.

Przemyski pulmonolog dr Włodzimierz Bodnar od marca próbuje zainteresować właściwych decydentów państwowych i resortowych skutecznością taniego leku, który od trzech dekad stosował, lecząc grypę, a ostatnio z dobrymi rezultatami wypróbował przy zwalczaniu wirusa SARS-CoV-2. Ale po co wydobywać pacjentów z choroby specyfikiem za 20 złotych, skoro władze mają już ogromne środki finansowe na nieprzetestowane szczepionki nowego typu?

(29 listopada 2020)

Od 1 maja 2020 r. rozpoczęliśmy kolejną edycję Projektu **„Seniorzy obok nas."**

Projekt przeznaczony jest przede wszystkim dla osób 60+.

Realizowany jest w ośrodku wypoczynkowym w Jastrzębiej Górze.

Osoby chętne do udziału w projekcie powinny wypełnić wniosek i przesłać go:

- drogą mailową na adres: janinapodlejska@gmail.com
- pocztą tradycyjną dostarczyć na adres Stowarzyszenia:

ul. Barlickiego 28
50-324 Wrocław

ASOS 2014-2020
Rządowy Program na rzecz Aktywności Społecznej Osób Starszych na lata 2014-2020
Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

"Seniorzy obok nas"

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA RODZINY, PRACY I POLITYKI SPOŁECZNEJ W RAMACH RZĄDOWEGO PROGRAMU NA RZECZ AKTYWNOŚCI SPOŁECZNEJ OSÓB STARSZYCH NA LATA 2014 – 2020 – EDYCJA 2020

WOLNI I SOLIDARNI
Solidarność Walcząca

Myślę sobie, że cuda dzieją się wokół nas każdego dnia

Aleksandra Polewska-Wianecka

■ Książki o Bożym Narodzeniu są zwykle niczym filmowe komedie romantyczne: lekkie, pogodne i słodkie. Do tego w tle ich akcji pobrzękują dzwoneczki, pachną pieczone pierniki i choinka z lasu. Publikacja „Moc truchleje”, która ukazała się w listopadzie, zawiera całkiem inne świąteczne historie. Po pierwsze prawdziwe, po drugie osadzone w scenerii wojny na Kresach wschodnich, kazachskich stepach czy nawet w KL Auschwitz. Z jej autorką Sylwią Winnik rozmawia Aleksandra Polewska.

Jak znalazła Pani chętnych do podzielenia się – wstrząsającymi niekiedy przecież – wspomnieniami? Pytam, bo moja babcia, która spędziła pięć lat na przymusowych robotach w Niemczech, do dziś nie opowiedziała mi o świętach tam spędzanych.

W swojej świątecznej książce rzeczywiście pozostałam w tym, co kocham najbardziej, czyli w ukazywaniu prawdziwych ludzkich historii i emocji. Rozmówców szukałam wokół siebie. Bardzo zależało mi na tym, by ta książka miała zróżnicowane opowieści z różnych stron Polski, ludzi o różnym doświadczeniu. I miała być nie za długa. Podobna do tych krótkich opowieści wigilijnych, opowiadanych mi przez babcię o wojnie i o rodzinie, jak wtedy, gdy siedziałam przy rozpalonym piecu w zimowe wieczory, a babcia snuła historie tkane jej rodzinnymi wspomnieniami. Myślę też, że tych lekkich książek również potrzebujemy, bo otacza nas wiele trosk i szukamy w nich wytchnienia. Książka „Moc truchleje” jest reportażem, pełnym moich osobistych refleksji o Bożym Narodzeniu i przemijaniu, ale niesie też nadzieję. W niej również znajdziemy wytchnienie.

Skąd pomysł na tę książkę?

Boże Narodzenie zawsze było dla mnie wyjątkowym czasem. Z jednej strony ze względu na wiarę. Ale trzeba też przyznać, że te konkretne święta, są bardzo rodzinne. I właśnie dlatego tak je kocham. Niestety, dwa ostatnie lata były bardzo smutne. Odeszli, rok po roku, moi dziadkowie, a kilka lat wcześniej babcia. Gdy przy wigilijnym stole pojawiło się więcej pustych miejsc, zaczynałam rozumieć, że pustka i tęsknota, jaką po sobie zostawili dziadkowie, odzwierciedla mój wielki ból. Ból ten, jednak im większy, tym wyraźniej określa ogrom miłości, jaki nam dali, bo to za ich obecnością przecież tęsknimy. Boże Narodzenie zawsze będzie dla mnie czasem, gdy przed oczami staną mi dziadkowie, jak żywi. Ta książka, dla mnie, to hołd dla nich, za to, że miałam święta rodzinne i piękne. Pełne miłości, nadziei. I takie święta teraz chcę przygotowywać sama. Ale w tematyce tej książki kryje się również drugie dno. W dobie pędzącego świata, gdy często zapominamy o tym, co jest ważne, ta książka ma przypomnieć, że małe rzeczy naprawdę cieszą. Tak małe jak okruch chleba w Auschwitz, którym w Wigilię dzielono się jak opłatkiem.

Która z opisanych historii wywarła na Pani największe wrażenie?

Każda ma w sobie coś, co porusza serce. Wszystkie historie to ludzkie emocje, przeżycia, wartości, dzieciństwo, beztroski czas przed 1939 rokiem i nagle dramat, gdy zaczyna się wojna. Nie umiałabym wybrać jednej.

„Moc truchleje” to Pani czwarta książka. Na Pani koncie na facebooku, tuż pod Pani nazwiskiem widnieje napis: „Historia to człowiek i jego los” i właśnie o tym Pani pisze. Opowie nam Pani króciutko o trzech pozostałych publikacjach?

Swoją przygodę z pisaniem rozpoczęłam książką „Dziewczęta z Auschwitz”. Zainspirowana opowieściami swoich dziadków. Pamiętam, jak wieczorami siadałam przy piecu, a babcia opowiadała. Prosiłam o kolejne i kolejne historie. W mojej rodzinie również pojawiały się trudne wojenne wspomnienia i to właśnie sprawiło, że napisałam książkę o kobietach i rodzinach, które trafiły do Auschwitz-Birkenau. Drugi reportaż był próbą zmierzenia się z hejtem skierowanym w stronę polskich żołnierzy wyjeżdżających na misje pokojowe do Afganistanu czy Iraku. Każdy z nas zmaga się ze swoimi troskami, a ta książka pokazuje, że można przetrwać wszystko. I że nie trzeba wyruszać na wojnę, by stoczyć walkę o życie. Z drugiej zaś strony widzimy tam oblicza rodzin polskich żołnierzy, motywacje wyjazdów na misje. Uważam, że mamy skłonność do oceniania, nie wiedząc wszystkiego. Książka „Tylko przeżyć. Prawdziwe historie polskich żołnierzy” miała nam w bardzo emocjonalny sposób tę wiedzę przybliżyć. To lektura dla kobiet, ale i dla mężczyzn, bo uczy w pewnym sensie empatii i wzajemnego zrozumienia. Moją trzecią książką były „Dzieci z Pawiaka”. Pawiak, miejsce kaźni Polaków, o którym nie mówi się często. A było przecież największym więzieniem gestapo nie tylko w okupowanej Polsce, a w całej Europie. Zginęło tam około 37 000 ludzi, a ponad 60 000 wywieziono do obozów zagłady i innych miejsc odosobnienia. W tym dzieci. O tym, jak traktowano kobiety w ciąży, co przeżyły dzieci na Pawiaku i jak te przeżycia wpłynęły na ich psychikę w przyszłości, napisałam w tej książce. Wszystkie moje cztery książki łączą prawdziwe historie ludzi i ich prawdziwe emocje. Zawsze robię wszystko, co w mojej mocy, aby te reportaże te były rzetelne, ale i pełne ludzkich uczuć.

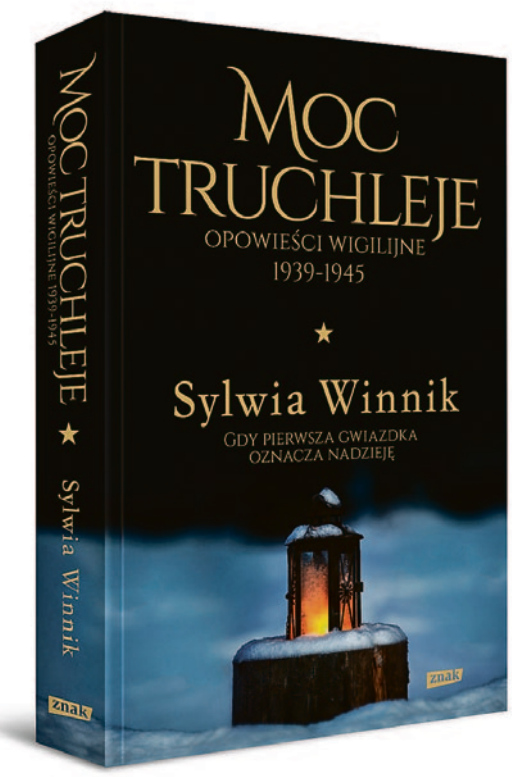

Wyobrażam sobie, że bohaterowie „Moc truchleje” ucieszyli się z tego, że ktoś uwiecznił ich losy.

To były dla nich, ale również dla mnie bardzo trudne rozmowy. Często przerywane łzami, ciszą, wywołaną ściskiem gardła przez natłok emocji. Trudno mówić o najtrudniejszych chwilach w życiu, o stracie rodziny, płonących domach i morderstwach, rozgrywających się na oczach świadków historii. Jednak nasze rozmowy wiele znaczyły. I to prawda, moi rozmówcy cieszyli się, że ich wspomnienia nie zostaną zapomniane. I że pozostanie po nich ślad w naszych sercach.

W książce zamieściła Pani również zdjęcia z wojennych świąt i dwanaście przepisów na przysmaki wigilijne. Czy któryś wypróbuje Pani, przygotowując najbliższe święta?

Te przepisy są naszym rodzinnym spadkiem. To dla mnie bardzo ważny element książki. Zawarłam w niej przepisy mojej prababci i babci. Korzystam z nich, gdy razem z mamą przygotowujemy wieczerzę wigilijną. Sięgam również po te, które wykorzystują w swojej kuchni bohaterki książki „Moc truchleje”. Piękna jest różnorodność tych przepisów, pochodzą z różnych miejsc w Polsce. Na pewno wypróbuje je w tym roku, tworząc tradycyjny, ponadczaso- ►

► wy i zróżnicowany stół wigilijny.

W tym roku Boże Narodzenie przebiegnie w cieniu ograniczeń związanych z pandemią. To nie będą łatwe święta. Jednak te trudne święta, które Pani opisała, nazywa Pani światełkiem nadziei. Czy tegoroczne święta też powinniśmy postrzegać jako takie światełko?

W wojennych świętach tkwi pewna głębia, której może nie widać od razu. Jest subtelna, nieśmiała, ale jeśli wyczytamy ją pomiędzy wierszami, szybko zrozumiemy, że nawet najsmutniejszy czas w naszym życiu, może nieść iskierkę nadziei. „Moc truchleje", to książka wyjątkowo potrzebna nam w tym roku. Pierwsza gwiazdka niesie nadzieję, nam również ją przyniesie. Musimy tylko w to uwierzyć. Dlatego przywołam słowa jednej z bohaterek książki, pani Bronisławy: „Myślę sobie, że cuda dzieją się wokół nas każdego dnia, tylko nie umiemy ich dostrzegać, bo nie chcemy ani nie potrafimy w nie uwierzyć. Umysł, który nie wierzy, odporny jest też na cuda. Tylko że... przychodzi niekiedy taki moment, że wbrew naszej woli dzieje się nagle coś pięknego. I dzieje się właśnie po to, byśmy docenili codzienny cud życia. I żebyśmy o nim nie zapominali.

WCIĄŻ AKTUALNE

Słowa śp. Kornela Morawieckiego

Wiara i obraza

Co to jest bluźnierstwo, świętokradztwo?

Dwa tysiące lat temu Jezus z Nazaretu, założyciel najwspanialszej religii, został ukrzyżowany za swe nauczanie. Jego przekaz ówcześni pobożni Żydzi odebrali jako bluźnierstwo.

Dziewięć lat temu, po wydrukowaniu w duńskiej peryferyjnej gazecie karykatury Mahometa, Jego wyznawcy spalili dziesiątki kościołów i zabili setki chrześcijan i niewiernych, których obarczyli winą za świętokradztwo.

Odpowiedzmy najprościej – bluźnierstwem, obrazą dla wyznawców jakiejś wiary i jakichś wartości jest to, co oni tak określają. To, co obraża ich świętość.

Wolności wiary, myśli i słowa wyrosły jedynie na chrześcijańskiej glebie – z sadzonki miłości. Czy te nasze, zachodnie osiągnięcia mogą być zagrożeniem dla samych siebie, dla ładu, który praktykujemy?

Mogą, jeśli tylko pozwolimy, by wierzący w bezsens i nieistnienie Boga wciągali nas w swój nihilizm jak w „piknikową" zabawę.

Wolność wypowiedzi i sztuki nie jest wartością absolutną.

Kto w imię tego, co głosi, gotów jest na cierpienie, jak Chrystus – ten zawsze powinien być wysłuchany. Ale ci, którzy dla sławy i poklasku bezczeszczą wartości święte dla innych, ci niszczą cywilizację i zasługują na pogardę.

Wrocław 24 lipca 2014 rok

APEL

My, kobiety Solidarności Walczącej, organizacji założonej w okresie stanu wojennego w Polsce w 1982 r. – więzione, internowane, represjonowane – mamy prawo i obowiązek wyrazić stanowczy protest wobec tych, którzy rujnują wywalczoną wolność, bezczeszczą symbole religijne i narodowe.

Apelujemy do wszystkich Polek, którym leży na sercu dobro Ojczyzny, o przeciwstawienie się wszelkim ruchom im i antyreligijnym, nie tylko modlitwą, ale również czynem. Boli nas i oburza, że wyzwolona z pęt komunizmu – Ojczyzna jest niszczona. Napady na kościoły, księży, happeningi uliczne deprawujące młodzież i dzieci, powinny być stanowczo potępione.

Hasła wypowiadane przez manifestantów, pełne wulgaryzmów, przyciągają młodych ludzi oderwanych od wartości i nasiąkniętych ideologią „róbta, co chceta". Czyny karalne – znieważanie flagi polskiej i symboli religijnych, oszpecanie pomników bohaterów, zakłócanie nabożeństw – nie są ścigane z urzędu przez wymiar sprawiedliwości. Do tego część reprezentantów narodu nawołuje Unię Europejską do karania Polski za to, że chce być suwerenna.

Obecna sytuacja jest pokłosiem nierozliczenia się z aparatem komunistycznym w szeregu instytucjach: sądownictwie, szkolnictwie, wojsku, biznesie. Zaniedbano oświatę, młodzież nie zna historii Polski, podręczniki nie przekazują treści wychowawczych, patriotycznych.

Pamiętajmy o nauczaniu Jana Pawła II, który bronił życia i rodziny jako fundamentu trwania narodu i cywilizacji chrześcijańskiej. Nie zapominajmy, że naród, który nie zna swojej historii, jest narodem bez przyszłości.

Dlatego mówimy: STOP, non possumus! Nie zgadzamy się na wojnę w Ojczyźnie. Nie zgadzamy się na manifestacje zagrażające naszemu zdrowiu w okresie pandemii. Nie zgadzamy się na zachowania obsceniczne, wywołujące zgorszenie.

Przekazujmy szeroko prawdę, brońmy godności kobiet i dzieci. Nie bójmy się występować przeciw złu, chociaż jest krzykliwe. Bądźmy wierni krzyżowi. Chrońmy życie od poczęcia aż do śmierci. Włączmy się do pracy pozytywistycznej, co od wieków robiły nasze rodaczki.

Śp. Kornel Morawiecki mówił: „działaj tak, aby zaszkodzić komunie". Więc my teraz: róbmy co się da, aby prawdziwe wartości wygrały z demoralizacją. Niech dobro zatryumfuje nad złem.

Szczęść Boże!

27 listopada 2020

Zofia Maciejewska
Helena Lazarowicz
Ewa Grzegorzewska
Marta Morawiecka
Janina Podlejska
Małgorzata Suszyńska
Alicja Grzymalska
Sylwia Kozakowska
Hanna Łukowska-Karniej
Izabela Wawrzeń
Krystyna Szkutnik
Elżbieta Szewczyk
Jolanta Piątek
Marianna Żabińska
Alicja Kopeć
Grażyna Walczak
Maria Walczak
Wanda Horbaczewska
Maria Niemojewska

Ludwika Ogorzelec
Ewa Stewart
Maria Dauksza
Teresa Krusińska
Ada Radomska
Katarzyna Błażewicz-Brzechowska
Halina Spasowska
Teresa Czarnecka
Krystyna Jagoszewska
Zdzisława Ferenc
Zofia Olichwier
Małgorzata Zwiercan
Mirosława Kondratowicz
Iwona Kondratowicz
Ewa Kozłowska
Aurelia Lemańska
Maria Peisert-Kisielewicz
Krystyna Chmieleńska
Maria Zofia Olech

Janina Izabela Ratajczak
Maria Mączyńska-Bobek
Krystyna Nowakowska
Maria Kudelska-Rusiecka
Wanda Linowska
Dorota Dejneka
Danuta Nej
Danuta Pałka Szyszka
Anna Mączyńska
Maria Piasecka
Wiesława Nowakowska-Szpala
Zofia Karniej
Maria Ganaciu-Srokowska
Jolanta Sarnecka
Katarzyna Kowalewska-Bambrowicz
Jolanta Gorczycka
Janina Bąk
Jolanta Górska
Małgorzata Jaśkiewicz

Alina Winiarski
Danuta Łotocka
Wiesława Bafalukosz
Danuta Rojek-Lenkiewicz
Milena Waśkiewicz
Grażyna Najnigier
Ewa Tomaszewska
Małgorzata Olszewska
Dominika Rucińska

Przepraszamy, że nie udało nam się dotrzeć do wszystkich działaczek SW i członkiń Stowarzyszenia SW.

Można się dopisywać i upowszechniać.

Zgłoszenia proszę przesyłać na adres e-mail: janka.podlejska@gmail.com

Magdalena Maliszewska

LUDZIE KULTURY

▪ Krakowianka z dziada pradziada, choć kawałek serca pozostawiła na Podlasiu, skąd wywodzi się rodzina Maliszewskich. W latach 80. najpierw uczennica XIII LO, potem studentka Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej na UJ, a w końcu działaczka opozycji antykomunistycznej współpracująca z kilkoma wydawnictwami drugiego obiegu. Od 1991 roku członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, okazjonalnie publikująca artykuły w prasie krajowej (m.in. na łamach „Tygodnika Powszechnego", „Znaku", Gazety Wyborczej") i emigracyjnej (w „Kurierze Ateńskim", „Relacjach").

W latach 90. prowadziła krakowską księgarnię „Orlando", potem przez dekadę – agencję reklamową, a ostatnio pracuje jako redaktorka oraz korektorka tekstów. Przez trzy kadencje była radną Dzielnicy II Miasta Krakowa, czyli Grzegórzek, a obecnie współpracuje z kilkoma stowarzyszeniami (m.in. NZS 1980, Krakowski Klub Wtorkowy) oraz udziela się jako wolontariuszka pomagająca znajdować domy porzuconym zwierzętom.

W 2015 roku wraz z Bereniką Rewicką napisała książkę „Kobiety małopolskiej Solidarności" złożoną z wywiadów z działaczkami antykomunistycznego podziemia.

„Zimny wiatr"

Trudno w to uwierzyć, ale nie ma jeszcze żadnej powieści, której akcja rozgrywałaby się w Krakowie u schyłku „karnawału Solidarności" i w pierwszych miesiącach stanu wojennego. Na razie nie ma – bo postanowiłam zapełnić tę lukę. Książka powstaje od roku i mam nadzieję, że na 40. rocznicę ogłoszenia stanu wojennego znajdzie się w księgarniach.

Tytuł „Zimny wiatr" na początku był roboczy, ale potem stwierdziłam, że jest w jakiś sposób symboliczny, bo to przecież i dosłowny zimny wiatr tamtej grudniowej nocy, i symboliczny zimny wiatr stanu wojennego czy szerzej – wiejący nad Europą przez długie dziesięciolecia zimny wiatr komunizmu.

O czym i dla kogo będzie ta książka? Dla tych, którzy nie znają tamtych czasów, żeby mogli przekonać się, że byliśmy tacy sami jak oni – młodzi, energiczni, pełni entuzjazmu i zapału. Dla tych, którzy znają, żeby mogli sobie przypomnieć tamtą atmosferę, wytropić znajome motywy, a może odkryć kogoś z przyjaciół w którymś z moich bohaterów. Bo mimo, że „wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe", to jednak wyposażyłam prawie każdego mojego bohatera w cechy, które ludziom z tamtych lat mogą wydać się znajome i kogoś przypominać. Jest to więc w pewnym stopniu „powieść z kluczem", choć nie w klasycznym znaczeniu: często jedna osoba ma cechy wielu znajomych z podziemia, a inna jest od początku do końca wymyślona.

Moi bohaterowie to grupa przyjaciół, studentów II roku historii na UJ. Bardzo różnią się od siebie, ale łączy ich, walka z systemem i wspólne wartości. Są wplątani w historię, ale też we własne namiętności, ambicje i słabości.

W powieści będzie dużo konspirowania i drukowania, a także miłości, imprez, książek, przyjaźni, rodzinnych historii i tajemnic. Tamten świat to przecież nie były tylko manifestacje i bibuła, ale także puste półki, marzenia o wyjeździe za żelazną kurtynę, ciułanie na jeansy z Pewexu czy przesiadywanie w knajpach.

Anna weszła do bramy i od razu wyczuła, że ktoś się tam czai. Jakiś wielki, czarny cień oderwał się od ściany i ruszył w jej stronę. Odskoczyła i w tej samej chwili usłyszała:

– Pani się nie boi. Czekam tu, bo mam cynk od Łukasza.

Wcale jej to nie uspokoiło, wręcz przeciwnie. W słabym świetle zakurzonej żarówki zobaczyła ziemistą twarz przeciętą blizną i tatuaż na lewym policzku.

Mężczyzna cofnął się o krok. Może zauważył przestrach Anny, a może tylko chciał pozostać w cieniu.

– Kiblowałem z nim pod celą na Monte. Prosił mnie, żeby tu przyjść i powiedzieć, że on nikogo nie wsypał. I nie wsypie. Tyle.

Anna odzyskała równy oddech, ale nadal nie potrafiła z siebie wydobyć głosu. Pamiętała dokładnie, co im mówił mecenas Brzeski o „getcie" – oddziale, na który trafił Łukasz, o więźniach tam umieszczanych i o „agentach celnych".

Mężczyzna zrobił kilka kroków w stronę bramy, ale kiedy położył już rękę na klamce, odwrócił się jeszcze w stronę Anny i powiedział:

– Pani się nie boi. Ożeniłem kosę kochankowi mojej starej, ale nie jestem kapusiem. Odsiedziałem 15 lat i nigdy nikogo nie zakablowałem. Teraz chcieli mi jeszcze doklepać jakiegoś umrzyka z Pleszowa, ale nie mieli na mnie żadnych kwitów. Dlatego chodzę wolno, a nie dlatego, że kogoś wsypałem. Nazywam się Niżyński. Mój dziadek miał virtuti.

Na następny dzień u Jurka – z Darkiem, Maćkiem i Karoliną – zastanawiali się, czy jest jakaś szansa, żeby dowiedzieć się o tym człowieku czegoś więcej.

– Przypomnij sobie, co on jeszcze mówił – Jurek daleki był od tego, żeby bez zastrzeżeń ufać jakiemuś typowi czyhającemu w bramie, ale jednocześnie liczył, że informacje wyciągnięte od kogoś, kto właśnie wyszedł z „getta" i siedział w celi z Łukaszem mogły okazać się cenne zarówno dla adwokata, jak i dla nich. Brzeski sam by najlepiej wiedział, jak je wykorzystać, a oni nareszcie mogliby wysłać na Zachód raport w sprawie trzymania więźniów politycznych z ciężkimi przestępcami i ich traktowania w areszcie na Montelupich.

– Nic więcej, opowiedziałam wam już kilka razy całą rozmowę – wzruszyła ramionami Anna.

– To przecież tylko jakiś kryminalista! – wtrąciła się Karolina.

– Wiem, ale mimo wszystko może warto by go było odszukać i o wszystko dokładnie wypytać. Szkoda, że tego nie zrobiłaś.

– Chyba żartujesz! – nie ustępowała Karolina. – Przecież Ania była przerażona! On czekał na nią późnym wieczorem w ciemnej bramie!

– Poza tym nie wiedziałam, czy to nie jest jakiś prowokator – Anna wstydziła się swojej wczorajszej paniki i była zła, że Karolina tak podkreśla jej przerażenie.

– Nadal tego nie wiemy... – Janek wstał, wyszedł do przedpokoju, a po chwili wrócił z książką telefoniczną. – Jak on mówił, że się nazywa?

W książce telefonicznej było kilku Niżyńskich: adwokat, doktor nauk medycznych i gość, który mieszkał w jednym z milicyjnych bloków przy ulicy Francesco Nullo. Wszystkich z góry wykluczyli.

– Taki kryminalista to pewnie nie ma telefonu – zauważył Maciek.

– Racja. Nie wiemy nawet, czy jest z Krakowa, czy gdzieś z okolicy. Zresztą może wcale się tak nie nazywa.

Jurkowi jednak nie dawała spokoju sprawa Niżyńskiego. Coś mu mówiło, że facet podał prawdziwe nazwisko i że warto go poszukać. Może popchnęły go do tego wyrzuty sumienia, że nic więcej nie potrafi dla Łukasza zrobić, ale rozesłał wici przez znajomych Maćka z MPK, taksówkarzy od Irka i przez Karola. Liczył, że może ktoś zna kogoś, kto zna kogoś... A Karol stwierdził, że jeśli ma szukać człowieka z półświatka, to tylko Janek może mu pomóc.

Janek nie lubił wracać do tych czasów, gdy bujał się po dzielnicy z bandyterką z osiedla Wysokiego i obrabiał schowki na rowery, piwnice i altanki w ogródkach działkowych. Najchętniej już zawsze unikałby dawnych kumpli, ale kiedy dowiedział się, że chodzi o Łukasza z redakcji „Kuriera", podpytał starych znajomych, którzy dalej kręcili się w tamtym szemranym środowisku, czy kojarzą gościa, który nazywa się Niżyński, zarobił piętnastkę za mokrą robotę, a ostatnio siedział na Monte. Wszyscy twierdzili, że nie kojarzą, co mogło świadczyć, że facet był jednak esbecką lub milicyjną wtyką. Janek zdawał sobie sprawę, że równie dobrze mogło to oznaczać, że starzy kumple mu już nie ufają, że już nie jest dla nich swojakiem. Ale po dwóch dniach „Kosa" spod trzynastki, pijący pod śmietnikiem piwo z dwoma innymi, których Janek nawet nie kojarzył, oderwał się na chwilę od swojego zajęcia i od swoich kompanów, żeby powiedzieć mu, że ktoś go tu szukał i że czeka na niego w „Arkadii".

W „Arkadii" o tej godzinie było prawie pusto. Tylko na pięterku, w jednym z wydzielonych drewnianymi ściankami boksów siedziało kilku mętnych gości. Jeden z nich, chudy, o szczurzej twarzy, widząc Janka pochylił się nad stolikiem i szepnął coś drugiemu – mięśniakowi w białej marynarce ze złotym łańcuchem na szyi. Ten drugi, który wydał się Jankowi skądś znajomy, kiwnął na niego palcem.

– Podobno szukasz „Górala" Niżyńskiego.

– Tak. Mam do niego interes.

Mięśniak zarechotał:

– Komu znowu zalazł za skórę?

– Nikomu. Kiblował z moim kumplem pod celą na Monte. Chcę się dowiedzieć, czy kumpel jest zdrowy i czy nie puścił farby.

– „Góral" kima u matuli w Mogile, na Klasztornej. W takiej niebiesko pomalowanej chałupie. Tam go wszyscy znają.

– Dzięki.

– Pozdrów go od „Cygana"! – powiedział to takim tonem, że nie bardzo było wiadomo, czy to przyjacielskie pozdrowienie, czy może raczej pogróżka.

Janek odwrócił się i chciał już odejść, ale mięśniak zatrzymał go:

– Hej, czy to ty skitrałeś dziennik VI b, a potem spaliłeś go na działkach razem z altanką?

– Tak, to ja – rzucił Janek przez ramię.

Towarzystwo przy stoliku wybuchnęło śmiechem, a „Cygan" znów go zatrzymał.

– Jakbyś chciał coś znów... spalić... albo skitrać... to szukaj mnie przez „Kosę". Przyda nam się taki chojrak. ▶

Janek wiedział, co powinien zrobić. Odwrócił się w jego stronę i zmusił do uśmiechu.

– Ma się rozumieć! – odpowiedział pewnym głosem i uniósł rękę w geście podziękowania.

Gdyby nie był o 100 lat świetlnych odległy o myśli o powrocie do tamtego życia, to właściwie mógłby być dumny. Ostatnie słowa „Cygana" były nie tylko zaproszeniem do wspólnej „roboty", ale i sygnałem: „Wiemy, że jesteś w porządku".

Wyszedł z knajpy, odetchnął z ulgą, wyciągnął papierosa i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że zupełnie bezwiednie, ale szybko i instynktownie „wszedł" na nowo w ten dryl półświatka, o którym tak bardzo starał się zapomnieć. Gdyby wszystko inaczej się potoczyło, to siedziałby teraz w „Arkadii" z tym szemranym towarzystwem omawiając szczegóły kolejnego skoku, podszczypując kelnerki i zastanawiając się, kogo skroić. A może kiblowałby razem z Łukaszem na Monte.

Na szczęście kiedyś spotkał na swojej drodze mądrego księdza z klasztoru w Mogile i chyba to uchroniło go od zostania kryminalistą. Znów pomyślał z wdzięcznością o ojcu Cyprianie.

Na Klasztornej jakaś kobiecina śpiesząca się na popołudniowe nabożeństwo do opactwa cystersów powiedziała mu, żeby szukał numeru 18. Małą drewnianą chatkę wciśniętą pomiędzy dwa nowe domy-klocki i osłoniętą żywopłotem łatwo można było przeoczyć albo wziąć za jakąś przybudówkę, której jeszcze nie rozebrano, gdyby nie samotny słupek wbity w ziemię przed żywopłotem. Słupek miał być pewnie kiedyś początkiem ogrodzenia albo może stanowił jakąś jego resztkę. Wisiała na nim tabliczka z numerem 18.

Janek zapukał do drzwi. Czekał tak długo, iż prawie stracił nadzieję, że ktoś mu otworzy i miał już zamiar odejść, gdy usłyszał za drzwiami jakieś ciche szuranie. Zastukał jeszcze raz i znów czekał dość długo, ale w końcu zazgrzytał zamek, a w progu pojawiła się babuleńka, tak drobna i krucha, że wyglądała, jakby miała sto lat. Lekko przygarbiona popatrzyła w górę przechylając głowę i mrużąc oczy od słońca.

– Zdzisek śpi – powiedziała od razu, choć Janek nie zdążył o nic zapytać. Odwróciła się i poszła w głąb domu. Domyślił się, że powinien iść za nią. Otoczył go gęsty zapach zmurszałego drewna, naftaliny i mydlin.

Z szerokiej sieni drzwi po lewej stronie prowadziły do kuchni, a przez nią do zagraconego pokoju, gdzie na wersalce w zmiętłoszonej pościeli leżał mężczyzna w szarych spodniach od dresu i rozciągniętym podkoszulku na ramiączkach. Na dźwięk kroków Janka po skrzypiących deskach opuścił nogi na podłogę i usiadł wpatrując się w przybysza pytającym wzrokiem.

– Coś ty za jeden? – bardziej warknął niż zapytał.

Janek stwierdził, że skoro już przypomniał sobie grypserską nawijkę, to może mu się ona teraz przydać:

– Cześć, koleżko!

– Czego chcesz? Nie wyglądasz na psa... – mężczyzna obrzucił go taksującym spojrzeniem i podniósł z podłogi niedopitą butelkę piwa.

– Nie jestem psem. Jestem kumplem tej dziewczyny, z którą wczoraj nawijałeś w bramie na mieście.

„Góral" przytknął butelkę do ust, osuszył ją do końca, wytarł usta wierzchem dłoni i popatrzył na Janka spode łba.

– Może i nawijałem. I co z tego?

– Jestem też kumplem Łukasza... tego, z którym kiblowałeś pod celą.

– Czego chcesz? – powtórzył. – Nie wracam do klatki, bo papuga mi załatwił wypustkę. Nic na mnie nie mieli.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o Łukaszu. Jak on się trzyma?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jak ma się trzymać, skoro ma szansę garować do spodu 20 lat. Jest tam taki klawisz, co mu strasznie ten wasz koleś podpadł. Ponoć jego stara robi w tym komisariacie, co go wasz koleś chciał zjarać. A jeden gad zawsze na maglu robi mu łomot. Z magla to ten wasz Łukasz wraca a to z limem, a to z rozkwaszonym pomidorem. A parę razy to nawet obskoczył fikołkiem po nerach.

– Nie dziwi nic, w końcu psiarnię zaatakował – wtrącił Janek chcąc jakoś podtrzymać rozmowę i skłonić mężczyznę do dalszego mówienia.

– I nie wypuszczają go na kołowrót. Ale pewnie to już mówił papudze.

– Z papugą to on się tylko raz widział. Dlatego przyszedłem cię podpytać.

Mężczyzna wstał i zaczął czegoś szukać na zarzuconym szpargałami szafce stojącej obok wersalki. Dopiero kiedy wstał, widać było, jaki jest barczysty i potężny. Janek zaczął rozumieć przerażenie Anki, o którym opowiadał mu Karol. Zauważył też pięć kropek pod lewym okiem. Pamiętał jeszcze, że w więziennym światku oznaczało to, iż gość został już wielokrotnie sprawdzony.

– Masz coś zajarać? – „Góral" odwrócił się w stronę Janka.

Janek wyciągnął papierosy. Zapalili i chwilę siedzieli w milczeniu.

– Łukasz to harcerzyk, ale charakterny. Nie kablował na was, mimo tych bęcków. W celi też nic nikomu nie sprzedawał, bo mu dałem cynk, że pewnie pod celą jest jakaś szmata.

– Bardzo go tam przeczołgali pod celą?

– Trochę darli z niego łacha, bo polityczni są na „getcie" jak... – chwilę szukał właściwego słowa – taki folklor.

– A teraz, jak ty spadłeś spod celi, to coś mu tam grozi od grypserki?

– E, tam, jak będzie dalej oddawał swoje papierosy, włos mu z głowy nie spadnie. Jeśli dostanie wycisk, to tylko od tego gada.

Oskarżenie

Wacław Leszczyński

Australijski kardynał George Pell był zdecydowanym przeciwnikiem zabijania nienarodzonych dzieci. Mafia aborcyjna postanowiła go za to zniszczyć i oskarżyła o pedofilię. Sądy australijskie skazały go na sześć lat więzienia. W wyniku odwołania, bezstronni sędziowie Sądu Najwyższego Australii, uniewinnili kardynała dowodząc, że oskarżenia były fałszywe. Po tej sprawie, mafia antykościelna uznała, że kardynał został uniewinniony, bo żył, więc mógł się bronić i dochodzić prawdy.

W oparciu o to, wrogowie polskiego Kościoła postanowili uderzyć w jednego z jego dostojników, w kardynała Gulbinowicza. Nienawidzili Go za wspieranie antykomunistycznej opozycji i przechowanie 80 milionów złotych Solidarności. Nienawidzili też Jego współpracowników (zwłaszcza dwóch), mianowanych za Jego przyczyną biskupami. Oskarżyli Go więc o pedofilię, ale dopiero wtedy, gdy 96-letni kardynał był już nieprzytomny i nie mógł się bronić. Gadzinówki wykorzystały tę okoliczność i napisały, że „odmówił komentarza". Zarzuty opierały się na zeznaniu jednego człowieka, który jako szesnastolatek w 1990 r. był ponoć ofiarą molestowania (więc to nie pedofilia!). Zeznań złożonych 29 lat po tym rzekomym incydencie, nie można zweryfikować. Składający zeznanie mówił, że był w kurii po przesyłkę. Musiał czekać i został na noc w rezydencji. Kardynał wtedy właśnie go molestował. Trudno w to uwierzyć. Gość nie był biskupem, by móc nocować w rezydencji. Jeśli miałby zostać na noc, to mógł nocować jedynie w seminarium duchownym (może tego nie pamiętał). Jeśliby ktoś go tam molestował, to nie mógł to być kardynał. Tak więc te jego zeznania, zupełnie nie są przekonującym dowodem i podstawą do oskarżania kardynała Gulbinowicza ani o pedofilię, ani też o homoseksualizm.

Oskarża się też kardynała o to, że prowadził rozmowy z SB. Ten zarzut podobny jest do stawiania zarzutów dowództwu AK, że wywołano Powstanie Warszawskie w 1944 r. Oskarżyciele rozumuj…ą post factum ahistorycznie, w oparciu o dokumenty, bez znajomości i wyczucia czasu, miejsca i warunków. Kto nie żył w Warszawie w 1944 r., nie ma pojęcia, o czym mówi i pisze! Tak jest też z rzekomą współpracą kardynała z SB.

Pochodził ze skromnej szlacheckiej rodziny na Wileńszczyźnie. Od powstania listopadowego, a zwłaszcza od styczniowego, ta ziemia poddawana była szczególnie intensywnej rusyfikacji i terrorowi. Za byle co można było być zesłanym na Sybir lub utracić rodzinny majątek. W takiej atmosferze, że trzeba było być „chytreńkim", aby się utrzymać, wychował się Gulbinowicz. Gdy miał szesnaście lat na Polskę napadli Sowieci. Pod ich okupacją trzeba było „lawirować", by nie być zesłanym na Sybir. Dlatego Gulbinowicz posługiwał się metryką odmładzająca go o pięć lat.

Nowa okupacja rosyjska (PRL) sprawiła, że gdy Gulbinowicz został księdzem, a potem biskupem, postanowił być tak, jak w rodzinnych stronach „chytreńkim". Uważał, że w tych warunkach „stawianie się" władzy tylko pogorszy sytuację. Wdawał się więc w rozmowy z agentami SB, może nawet przyjmował od nich drobne prezenty, żeby nie psuć „dobrych stosunków". Może czasem przeniósł jakiegoś księdza wygłaszającego „niepoprawne" kazania do innej placówki. Ale przecież nie tak dawno, we Wrocławiu, młody ksiądz za „niepoprawne" kazania został tak ukarany, że odszedł z duchownego stanu. W warunkach Dolnego Śląska inne, niż „chytreńkie" postępowanie kard. Gulbinowicza, mogło przynieść dużo gorsze skutki. A dzięki niemu, udało się wybudować pewną liczbę kościołów, legalnie działały duszpasterstwa akademickie, w domach parafialnych odbywały się lekcje religii. W papierach SB są domniemania o homoseksualizmie Gulbinowicza, ale to tylko plotki. Gdyby były na to dowody, toby SB szantażem zmusił Gulbinowicza do współpracy, jako TW, a tak jednak nie było. SB, by ardynała „postraszyć" podpaliła mu w Złotoryi w 1984 r. auto. Zarzut, że rozmawiając z SB, kardynał był wobec prymasa Wyszyńskiego nielojalny, nie jest niczym poparty. Możliwe, że czynił to właśnie za jego zgodą z powodu warunków na Dolnym Śląsku.

Wydany wyrok na kardynała i niejawność śledztwa kościelnego budzi zastrzeżenia. To był proces, w którym oskarżony nie miał prawa do obrony. Nikt tej sprawy we Wrocławiu nie badał, nikt o nic nie pytał, nikt tu o niczym nie wiedział. Dlatego „wyrok" Watykanu dla wielu był zaskoczeniem. I wielu uważa, że wyrządzono Kardynałowi wielką krzywdę (choć On się tym już nie przejmie), za którą ci, co Mu ją wyrządzili, odpowiedzą przed Bogiem.

„Postępowi" ważni urzędnicy Watykanu z otoczenia Papieża niezwykle szybko i chętnie (może za czyjąś „podpowiedzią") uznali winnym ważnego hierarchę z „konserwatywnego" polskiego Kościoła. O ich do Niego „sympatii", świadczy to, że od wielu lat do Polski nie trafił ani jeden kardynalski kapelusz, nawet do tradycyjnie „kardynalskiej" stolicy – Krakowa.

„Chcecie aby gardła nam poderżnęli?”, czyli zapomniana ofiara stanu wojennego.

Andrzej Manasterski

▪ Elity polityczne III RP, „zblatowane” z komunistami, nie dążyły do skutecznego wyjaśnienia śmierci wszystkich ofiar komunistycznych z lat 80. Przyjęta w literaturze liczba „około stu ofiar śmiertelnych”, przez całe lata była przyjmowana za pewnik. Tymczasem ta liczba wciąż się powiększa, bo na jaw wychodzą nowe fakty.

Kazimierz Michalczyk, zastrzelony 31 sierpnia 1982 roku do niedawna był uznawany za jedyną ofiarę wrocławskiej demonstracji. Dzisiaj można mówić już co najmniej o dwóch, trzech innych osobach. Jedną z nich był Tadeusz Woźniak, który zmarł 1 września 82 roku we wrocławskiej klinice przy ul. Pasteura.

Tadeusz Woźniak od 1970 roku mieszkał w Wałach, wiosce koło Brzegu Dolnego. Przyjechał z miejscowości Brokowo koło Kwidzyna. Był osobą spokojną, nie stronił jednak od kieliszka. W Wałach mieszkał razem z Heleną B. w konkubinacie, ci nikomu nie przeszkadzało. Codziennie dojeżdżał do pracy, jak wielu innych mieszkańców. Pracował w Zakładzie Remontowym Energetyki przy ul. Łowieckiej we Wrocławiu, a od sierpnia 1982 roku był oddelegowany do pracy w Elektrociepłowni w Siechnicach.

Według brygadzisty, Tadeusz Woźniak 1 września 1982 r. o godzinie 7.10 siedział w szatni w ubraniu roboczym i skarżył się na złe samopoczucie. Jeden z pracowników odprowadził go do zakładowego felczera. Kiedy jego stan gwałtownie się pogorszył, wezwano pogotowie. Zawieziono go do szpitala przy ul Pasteura. Tam po kilku godzinach Woźniak zmarł. Według zeznań zakładowego felczera, pacjent był trzeźwy, choć można było wyczuć od niego przetrawiony alkohol. To dało później podstawę do stwierdzenia, że był pijany „i gdzieś sam upadł nieszczęśliwie”. Plotka powtarzana wielokrotnie miała stać się prawdą. Jednak to nie alkohol spowodował obrażenia wewnętrzne, które doprowadziły do śmierci. Sekcja zwłok wykazała „pęknięcie jelita cienkiego z wylewem treści pokarmowej, co doprowadziło do zapalenia otrzewnej”. Uraz powodujący pęknięcie jelita mógł powstać, jak stwierdzono, w czasie od kilku do kilkudziesięciu godzin przed pierwszym badaniem przez felczera. Nie stwierdzono także alkoholu we krwi. Kiedy Helena B. i jej syn Kazimierz zabierali ciało, zauważyli na twarzy denata trzy rany cięte. Ani felczer, ani badający Woźniaka lekarze w szpitalu nie stwierdzili żadnych tego typu ran przed śmiercią. Także podczas sekcji zwłok nie było potrzeby robić cięć na twarzy. Czy zatem już po sekcji, a przed wydaniem ciała ktoś okaleczył trupa? W tym miejscu warto dodać, że Helenie B. i jej synowi utrudniano odebranie zwłok z Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu.

Kazimierza B. powiedział: „Postępowanie przedstawicieli Zakładu Medycyny Sądowej wzbudziło nasze podejrzenie. Początkowo nie chciano nam wydać zwłok mówiąc coś o potrzebie powtórnej sekcji, a kartę zgonu zmieniano trzykrotnie. W pierwszej – już nam wydanej, była mowa o pęknięciu jelita i toksycznym zatruciu płuc, a także o ostrej niewydolności. Tę kartę odebrano nam, po czym widziałem drugą wersję – już bez wzmianki o zatruciu płuc. Ostatecznie otrzymaliśmy trzecią wersję karty zgonu, w której były już tylko dwa punkty: pęknięcie jelita grubego i ostra niewydolność.” W Protokole sądowo-lekarskim oględzin zwłok z 2 września 1982 r. wydanym przez Akademię Medyczną we Wrocławiu, jest mowa o „ostrej niewydolności oddechowej spowodowanej pęknięciem jelita z wylewem treści do jamy otrzewnej i ostrym zapaleniem otrzewnej. Na ciele „nie stwierdzono zewnętrznych zmian urazowych” – a takie byłyby (np. w postaci zadrapań, otarć i. in.), gdyby Woźniak upadł lub został przez kogoś pobity. Potwierdzono także, że Tadeusz Woźniak nie był pijany. Natomiast warto zatrzymać się na zdaniu: „Plamy opadowe barwy sino-czerwonej, rozmieszczone na tylnej powierzchni ciała, pod uciskiem nie ustępują”. Takie plamy występowały u osób, które otrzymały ciosy gumowymi pałkami, jakich używali zomowcy podczas akcji. Uderzenia pałkami w odpowiednie miejsca na ciele nie zostawiały zewnętrznych śladów, ale powodowały poważne obrażenia wewnętrzne. Te fakty zostały pominięte przez prokuratorów Wiśniowskiego (w 1982 r.) i Mykietyna (w 1990 r, kiedy powtórnie zajęto się sprawą).

Materiał ze śledztwa w sprawie śmierci Woźniaka prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Oławie w 1982 r. i w 1990 r. znajduje się we wrocławskim archiwum IPN. Drugie postępowanie Prokuratury w 1990 r. zostało podjęte na wniosek prokuratora Józefa Gurgula, który wykazał szereg nieprawidłowości w działaniach z 1982 r. Zwrócił min. uwagę na to, że milicja wystąpiła z wnioskiem o umorzenie śledztwa przed wynikiem sekcji zwłok. Obie sprawy zostały umorzone. Jak uzasadniano decyzje? W 1982 roku Wiceprokurator Rejonowy Czesław Wiśniowski w „Postanowieniu o umorzeniu śledztwa”, z dnia 2 grudnia 1982 r. podał, że „wymieniony Tadeusz Woźniak w dniu 30 sierpnia 1982 r. pobrał z zakładu pracy pieniądze 5 tys. zł i w dniu 31 sierpnia nie zgłosił się do pracy, przebywał w tym czasie w pijalni piwa w Siechnicach. W dniu 1 września o godz. 7.10. Tadeusz Woźniak przebywał w stroju roboczym w szatni Elektrowni Siechnice, był on w stanie nietrzeźwym. […] Przeprowadzone czynności doprowadziły do ustalenia, że śmierć Tadeusza Woźniaka nie była wynikiem przestępstwa”. W podobnym tonie brzmi uzasadnienie umorzenia postępowania podane przez Prokuratora Rejonowego w Oławie Karola Mykietyna z 18 grudnia 1990 r.: „Brak jest dowodów na to, że śmierć Tadeusza Woźniaka była wynikiem przestępstwa, co uzasadnia umorzenie śledztwa.” Oba dochodzenia trwały po dwa miesiące. To zastanawiające, że mimo wielu wątpliwości prokuratorzy tak szybko zakończyli postępowanie. Tym bardziej, że Kazimierz B. kontaktował się ze znajomymi z pracy Woźniaka, którzy nie potwierdzili jego obecności w pijalni piwa w Siechnicach 31 sierpnia 1982 r.

Co na to mieszkańcy Wałów? Od tamtych wydarzeń minęło kilkadziesiąt lat ale znajomi Woźniaka nie są skorzy do zwierzeń. Jeden z nich twierdzi, że „to był fajny chłopak, ale nie wie, dlaczego zmarł”. Inny przyznaje, że ludzie bali się mówić („przyjdą w nocy i chodź, jak jesteś taki mądry”). A jeszcze inni mówią wprost: „Chcecie, żeby nam gardła poderżnęli?” Czy obawy są uzasadnione? W małych miejscowościach ludzie nie są anonimowi. To utrudnia podjęcie tematów, które mogłyby wpłynąć na relacje pomiędzy mieszkańcami. Dlatego lepiej nie wypowiadać się publicznie albo przyjmować wersję „o pijaku”, którą ogłosiła esbecja w 1982 roku. Ta wersja wywołała taki skutek, że proboszcz parafii w Brzegu Dolnym, ks. Władysław Ł. odmówił pogrzebania zmarłego. Argumentował, ze zmarły „żył w grzechu”, w konkubinacie, a do kościoła nie chodził. Czy to był na pewno jedyny powód? Naciski esbecji na lokalnych proboszczów okazywały się niezwykle skuteczne. Szczególnie, gdy mieli na księdza jakiegoś „haka”. Albo gdy od ich woli zależała realizacja planów, np. inwestycje w parafii. Akurat ks. Władysław Ł. Rozpoczynał budowę nowego kościoła, a to akurat wymagało wielu zabiegów, w tym uzyskania od władz państwowych pozwolenia na budowę oraz ▶

► przydziału na materiał budowlany. Ostatecznie mszę żałobną zgodził się odprawić ks. Jan Kwasik z sąsiedniej parafii w Brzegu Dolnym. Zapisy w „Księdze zmarłych" zawierają dalsze znaki zapytania. Dlaczego nie podano przyczyny zgonu, dlaczego podano dwa numery aktów zgonu – jedno z Wrocławia, drugie z Brzegu Dolnego? Wiadomo także, że esbecja wymusiła, aby pogrzeb odbył się przed godziną 15, tak aby jak najmniej osób pożegnało zmarłego.

Pogrzeb Tadeusza Woźniaka odbył się 6 września 1982 r. Uczestniczyło w nim wielu mieszkańców Brzegu Dolnego, Wałów i innych miejscowości. Zdawano sobie sprawę, kto był sprawcą śmierci. W podejrzeniach utwierdzały ich poczynania władz, min. kłopoty z wydaniem ciała, zakaz otwierania trumny, zakaz wywieszania klepsydr, obecność esbeków w czasie pogrzebu, zastraszanie konkubiny zmarłego i jej rodziny. Kazimierz B. podał, że jeden z funkcjonariuszy SB robił zdjęcia w czasie pogrzebu. Było jeszcze dwóch innych esbeków, których nazwisk Kazimierz B. nie znał. Nie ma pewności, czy był tam też Feliks B., funkcjonariusz SB mieszkający w Brzegu Dolnym. On sam mówił w 1990 r. że nie był na pogrzebie, natomiast jego nazwisko wymieniono w podziemnym piśmie „Z dnia na dzień" oraz w audycji Radia Wolna Europa. Warto też przytoczyć informację zawartą w lokalnym piśmie podziemnym „Podaj dalej" z dnia 25 października 1982 r.: „TKZ NSZZ „Solidarność" Rokity w Brzegu Dolnym wzywa wszystkich członków związku i mieszkańców Brzegu Dolnego do uczczenia w dniu Święta Zmarłych pamięci zakatowanego w dniu 31.08. br. przez ZOMO naszego kolegi Tadeusza Woźniaka. Grób pochowanego skrycie T. Woźniaka znajduje się w środkowym polu, w czwartym rzędzie, ósma kwatera po lewej stronie od kaplicy na nowym cmentarzu. Złóżmy kwiaty i zapalmy znicze na grobie jednego z tych, którzy oddali swe życie walcząc o prawo nas wszystkich do życia w godności i prawdzie. CZEŚĆ ICH PAMIĘCI".

Gwoli ścisłości – Tadeusz Woźniak chętnie wypowiadał się na tematy związane z podziemną „Solidarnością", lecz sam nie angażował się w działalność konspiracyjną. Na grobie Tadeusza Woźniaka umieszczono tabliczkę z napisem „Zginął tragicznie". Wkrótce zamieniono ja na inną z napisem informującym, że był ofiarą zajść 31 sierpnia 1982 r. Ktoś tę tabliczkę usunął, więc Kazimierz B. zawiesił kolejną z napisem jak na pierwszej. Esbecy dyskretnie obserwowali osoby, kto przychodził na grób Tadeusza Woźniaka. Działacze podziemnej „Solidarności" w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego oraz śmierci zapalali znicze, składali kwiaty. Kiedy chcieli postawić pomnik, niektórzy miejscowi kamieniarze odmówili, obawiając się represji. W końcu jeden odważniejszy zdecydował się przyjąć zamówienie.

Informacja o śmierci Tadeusza Woźniaka szybko rozeszła wśród mieszkańców gminy. Jego śmierć połączono z wrocławską demonstracją 31 sierpnia 1981 r. Aby sprawdzić prawdziwość informacji, do Heleny B. dotarli działacze dolnobrzeskiej „Solidarności": Władysław Dukiet i Genowefa Rusiecka. Relacja jaką przekazała im konkubina Woźniaka, dotarła do Henryka Strzyża, także aktywnego działacza dolnobrzeskiej „Solidarności". On też przekazał tę informację ukrywającemu się Władysławowi Frasyniukowi. Zapisana notatka została później znaleziona przy Frasyniuku w czasie aresztowania i stała się podstawą do zatrzymania Henryka Strzyża. W zbiorach wrocławskiego IPN ta notatka jest: „A teraz sprawa chyba najważniejsza – przesyłam do opublikowania za zgodą rodziny – żony, a właściwie konkubiny, bo mimo że mieszkali razem od lat, to ślubu nie mieli. Uzyskane od niej informacje o śmierci (zakatowaniu) w dniu 31.08. br. – Tadeusza Woźniaka – pracował w Siechnicach, mieszkał na Wałach Śląskich k. BD".

SB zaczęła szukać informatora oraz rozpoczęła śledztwo. Chodziło o ukrycie faktycznych sprawców zbrodni. Stąd specjalne akcentowanie spożywania alkoholu przez Woźniaka, rozpuszczanie wersji o upadku z wysokości i zastraszanie konkubiny i jej syna. Widać to wyraźnie w protokole zeznania Heleny B. 27 stycznia 1983 r. Zeznawała jako świadek w sprawie przeciwko Henrykowi Strzyżowi: „Nie jest prawdą, aby Tadeusz Woźniak zginął w wyniku odniesionych obrażeń zadanych przez siły porządkowe ZOMO. O tym nie mówiłam nikomu. Na terenie Siechnic w tym czasie przebywał Tadeusz Woźniak, a jak słyszałam od różnych osób, że zamieszek nie było i nie było tam również ZOMO. Nie jestem w stanie powiedzieć czy w ogóle oraz kto mógł pobić T. Woźniaka. Lekarz powiedział mi, że on nie jadł przez ostatnie dni." To, że Helenę B. zastraszono, potwierdza także Henryk Strzyż w swojej książce „Dał mi to los". Potwierdzają to także niektórzy mieszkańcy Wałów.

Podczas zbierania materiału zwróciłem się do pracowników dawnego zakładu pracy Tadeusza Woźniaka z prośbą o informacje na jego temat. Obecnie jest to Kogeneracja przy Łowieckiej, nosząca nazwę EDF Polska S.A.. Otrzymałem odpowiedź: „Nie mamy żadnej informacji o takiej osobie. Z naszych ustaleń nie wynika, by ktoś o takim imieniu i nazwisku pracował w nasze firmie." Komuś zależało, by usunąć wszelkie ślady po Tadeuszu Woźniaku. Śmierć przez zapomnienie, to jedna z metod działań SB. Mam nadzieję, że tym razem nie będzie ona skuteczna.

Nie jest znany czas i miejsce pobicia Tadeusza Woźniaka. Z przekazów ustnych (m. in. Heleny B.) wynika, że mogło się to stać w okolicach wrocławskiego Dworca Głównego PKP. Głównymi miejscami starć z siłami ZOMO 31 sierpnia 1982 roku były: pl. Solidarności (d. pl. Czerwony), pl. Jana Pawła II (d. pl. 1 Maja), ul. Legnicka, ul. Grabiszyńska, pl. Pereca, ul. Kazimierza Wielkiego, ul. Szewska, ul. Świdnicka, ul. Ruska, pl. Dominikański (d. pl. Dzierżyńskiego), pl. Społeczny, Most Grunwaldzki, pl. Grunwaldzki. Nie jest jednak wykluczone, że ZOMO mogło dopaść Woźniaka, mimo że ten nie brał udziału w demonstracji. Tak było w przypadku śmiertelnego pobicia Antoniego Sznajdera, którego skatowano na pl. Grunwaldzkim, gdy ten spokojnie szedł ulicą. Była godzina 21. z minutami, wracał od syna, miał 70 lat, na pl. Grunwaldzkim już było po demonstracji. Czym się naraził zomowcom? Gdy po spałowaniu upadł na chodnik, zomowcy wsiedli do samochodu i odjechali. Czy tak też było z Tadeuszem Woźniakiem?

Czas nie wpływa korzystnie na wyjaśnienie okoliczności śmierci Tadeusza Woźniaka. Nie żyją już Helena B. i jej synowie. Dopóki nie pojawią się nowe fakty, nie będzie można wyjaśnić okoliczności śmierci. Ale warto ją zachować w pamięci jako symbol komunistycznej rzeczywistości.

Wątek śmierci Tadeusza Woźniaka pojawił się w filmie Beaty Januchty „Bitwa wrocławska" z 2016 roku.

Zdrowo, ekologicznie, lokalnie

Magdalena Szymerowska

■ Mały lokalny warzywniak, jakich wiele wokół nas ma motto: „Zdrowo, ekologicznie, lokalnie". Właściciele przestrzegają tej zasady. Kupują warzywa i owoce u lokalnych rolników. W ofercie znajdziemy sezonowe owoce, a nie sprowadzane z zagranicy i przetrzymywane w chłodniach. Wszystko jest świeże, bo jest prosto z pola.

W Polsce na polach uprawia się około 36 gatunków warzyw. Przodujemy w Unii Europejskiej w produkcji kapusty i marchwi. Drugie miejsce mamy w uprawach cebuli i ogórków. Jeśli chodzi o owoce, to jesteśmy największym producentem jabłek i wiśni. Tymczasem w zagranicznych marketach naszych zdrowych warzyw i owoców jest mało. Zagraniczny kapitał, co jest zrozumiałe, preferuje swoje produkty. Jednak każdy z nas musi zdawać sobie sprawę z tego, że warzywa i owoce z zagranicy to często jedno wielkie skupisko chemii. Te egzotyczne to oczywiście źródło wielu cennych składników odżywczych (papaja, awokado, mango, ananas). Jednak ich spożycie będzie najzdrowsze wtedy, kiedy je zjemy w kraju, z którego pochodzą. Podczas wyboru warzyw i owoców kierujmy się jedną, prostą zasadą. Ma być zdrowo, sezonowo i lokalnie. Dlaczego? Egzotyczne warzywa i owoce muszą przetrwać długi transport, aby znaleźć się na półkach polskich sklepów. Najczęściej produkty te są zrywane, jeszcze zanim dojrzeją i wspomagane specjalnymi substancjami, dzięki którym „dojadą" do Polski w pełni dojrzałe. Z kolei te, które zrywa się już dojrzałe, należy zabezpieczyć przed długą podróżą przy pomocy konserwantów. Efekt? Nawet najzdrowszy egzotyczny owoc czy warzywo tracą część ze swoich cennych składników odżywczych. A poza tym mandarynka zjedzona w Polsce różni się od tej, którą zjemy w Portugalii czy Hiszpanii. Konserwacja i transport robią swoje. Więcej wartości odżywczych znajdziemy w produktach lokalnych. W produktach, których droga od dojrzewania do dostarczenia do sklepu jest krótka.

Te nasze małe warzywniaki, konkurując z zagranicznymi hipermarketami, poszerzają swoją ofertę o lokalne piwa, wina. Współpracują z małymi rodzinnymi piekarniami, w których chleb na zdrowym zakwasie to standard.

Warzywa i owoce, produkty lokalne to najlepsze rozwiązanie dla każdego z nas. Mały przedsiębiorca, właściciel sklepu może utrzymać swoją firmę. Wspierając rolników, innych producentów, wpieramy całą gospodarkę.

fundacja arp

KACPER SŁOMKA
WYRASTA NAM NOWA ELITA TWÓRCZA

Stanisław Srokowski

Młode Talenty

Od wielu lat „Obywatelska” wspomaga rozwój młodych talentów. Debiutowało już u nas kilkudziesięciu poetów, prozaików i publicystów. Szczególnie jesteśmy dumni z dojrzewania twórczego tych pisarzy, którzy nie tracą z nami kontaktu i niemal co roku przysyłają nowe płody swojej wyobraźni artystycznej. Jest też druga grupa pisarzy, którzy debiutowali na innych łamach, ale u nas szlifowali swoje strofy. Wśród nich pragnę szczególnie wyróżnić **Piotra Lamprechta**, duchownego, zakonnika, augustianina z Krakowa, który się urodził we Wrocławiu i tutaj dorastał, poetę i prozaika, którego szerzej przedstawimy niedługo. Otwiera on w polskiej literaturze nowy oryginalny nurt poetycki artystycznej awangardy. Młodsza od niego **Kinga Tyczyńska**, nasza debiutantka, której pierwszy tom wierszy ukaże się niebawem, uznana została już za jedną z najważniejszych poetek młodego pokolenia. Inny nurt liryczny prezentuje **Kacper Słomka**, wielokrotnie tutaj już prezentowany, który opublikował niedawno swój pierwszy pokaźny zbiór wierszy. Przedtem wydał dwie miniaturowe książeczki. Nowy zbiór to poważna oferta literacka, bogata i wieloznaczna. Oto krótki komentarz do jego tomiku.

Kacper Słomka, student filologii polskiej i historii na Uniwersytecie Wrocławskim, debiutował w poważnej prasie jako poeta, w 2017 r. w „Gazecie Obywatelskiej”. Wcześniej w 2016 r. opublikował swoje liryczne nowalijki w dwu zbiorkach. Nie odegrały one jednak żadnego znaczenia w ruchu poetyckim. Dopiero w pełni dojrzała książka „55 światów”, opublikowana w 2020 r. przez szanowane wydawnictwo „Magna Polonia”, wzbudziło spore zainteresowanie. Jego wiersze przepojone niepokojem o ludzki los oraz lękami nowej cywilizacji, poszukują ratunku w kulturze i historii, często odwołują się do wielkich ksiąg biblijnych i dzieł artystycznych geniuszy minionych epok. Poeta zmaga się z podstawowymi problemami aksjologicznymi swojego czasu. W postawie filozoficznej przypomina twórców dekadentyzmu i katastrofizmu, mistrzów moralnej rozpaczy, wieszczących zagładę pamięci, a więc i tradycji. Zmaga się z podobnymi demonami zła, z którymi zmagał się Charles Baudelaire, widzący np. ziemię, która „zmienia się w więzienie”. Z kolei Kazimierz Przerwa-Tetmajer rozdzierał szaty, pisząc: „smutek, zniechęcenie są treścią mojej duszy”. Gdzieś tam dalej pojawia się Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy), a także Józef Czechowicz. Słomka nie ukrywa, że boi się nadchodzącej przyszłości i powiada:

Jesteś w tyle z życiem.
Nawet z psem z kulawą nogą – jesteś w tyle.
To tak przygnębiające, że musisz gdzieś uciec-
więc uciekasz wprzód i wtedy-
orientujesz się, że wpadłeś w pułapkę.
Już mają Cię – twarde łapy systemu
dystrybucji i redystrybucji
czasu.

Często melancholia i smutek wiodą go do źródeł biblijnych i wtedy powiada:

Szepczę do siebie
i pogrążam się powoli w małej depresji jak
Eklezjasta – ten, co mówił, „Marność” (…).

Jest jednak wyjście z tego ciemnego labiryntu. I tym wyjściem jest właśnie twórczość, **piękno zawarte w duszy człowieka, bogactwo myśli i błysk metafory.**

Niedawno Słomka spotkał się ze swoimi czytelnikami. Możemy przekazać garść informacji z tego spotkania: 16 października tego roku w Miejsko-Gminnym Centrum Kultury w Jelczu-Laskowicach odbył się wieczór autorski Kacpra Słomki, promujący jego tomik poetycki, „**55 światów**” wydany przez wydawnictwo **Magna Polonia**. Wydarzenie to zostało poprowadzone przez **Krzysztofa Garczarka** – doktoranta filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim, który w trakcie dyskusji z autorem zwrócił uwagę na cztery istotne tematy w jego twórczości. Pierwszym z nich jest wiara, pojmowana zarówno jako zbiór zasad i wartości, jak i jako osobista relacja z Bogiem. Drugim z tych tematów jest funkcjonowanie jednostki we wspólnocie, zwłaszcza we wspólnocie narodowej. Trzecim jest rozwój technologii i mediów oraz związane z nimi zagubienie człowieka w coraz bardziej stechnicyzowanym świecie. Wreszcie ostatnim, o którym autor mówił w trakcie swojej prezentacji, jest temat miłości, pojmowanej zarówno jako uczucie jak i jako decyzja. Całą twórczość autora **Krzysztof Garczarek** podsumował jako, **„poezję, która buduje. Poezję, która z chaosu stara się stworzyć porządek, z cząstek stworzyć całość”.** Ponieważ nie sposób było uciec od porównań z innymi twórcami współczesnej literatury, Garczarek zwrócił uwagę także na to, że twórczość Kacpra Słomki jest związana z tradycyjnymi, chrześcijańskimi wartościami i, **„zna korzenie z których wyrasta”.** Książka jest dostępna w sprzedaży w sklepie internetowym wydawnictwa Magna Polonia, a także w sprzedaży wysyłkowej po kontakcie e-mailowym: k.bohuns@gmail.com. Miłośników poezji kierujemy pod ten adres. A poniżej kilka wierszy z **„55 światów”**. Gorąco polecamy. Popierajmy młode talenty, szczególnie wtedy, kiedy widzimy, że stoją na straży poważnej aksjologii i nie unikają trudnych pytań. Kupujmy ich książki.

Rozbiórka

Żelazny smok
żarłoczną paszczęką chwyta
zetlałe cegły, kamienie
i ruchem szyi, złożonej z segmentów,
rozrzuca popioły umarłych kamienic.
Co było tu nim przyszły żelazne smoki?
Kto mieszkał w domach z cegieł okrytych piaskiem?
Ile dusz przylgnęło do gruzu i popiołów?
Ile duchów rozrzuca co rusz
szczęka potwora?
Chrzęst ocierających się o siebie
kawałków stali.
Ryk żelaznego zwierza.
Kłapanie paszczęki z twardego metalu,
są dźwiękami zagłady
resztek ruin.
Jęk bezdomnych duchów kamienicy,
niesie się w ulice jak odgłosy salw.
Duchy były jej ostatnimi mieszkańcami.
Teraz będą się mścić spirytycznym szałem,
gdy nie ma już kogo straszyć
i komu pomagać.
Albo uniosą się samotne, w powietrze pełne spalin,
i zabiorą ze sobą im tylko znane wspomnienia,
łez i namiętności, które widziały.
Zostanie popiół, później go zadepczą.
Posypcie głowy popiołem!

***

Rozlała się ulica w literaturę,
a literaturą mówi do mnie życie.
Szekspir, Byron, Mickiewicz i Goethe,
salwami biją spod bruku
i odbijają się w twarzach poszarzałych.
W przedziale kolejowym zawsze zdołasz znaleźć,
przynajmniej po jednym Werterzę i Don Juanie.
A jadąc tramwajem częstokroć podróżujesz
w towarzystwie Hamleta lub nawet Konrada.
Pomyśl.
Ilu z mijanych przez Ciebie ludzi
może codziennie mówi sobie, „być albo nie być”
i nosi się z pragnieniem wielkiego czynu,
i zaleca się śmierci patrząc w lustro.
A ilu zbuntowanych
wobec świata, Boga, siebie,
chciałoby, „czuciem rządzić”,
a nie może?
Prześledź poszczególne oblicza,
młodych chłopców w okularach lub bez.
Ilu z nich wciąż zmienia, „obiekty energii”
(jak rzekłby Freud),
a ilu cierpi dla jednej głupiej Lotty,
czarnej albo blond?
Więc nie mów, że nie ma już romantyzmu
ani głębi. Są. Tylko jakby bardziej betonowe.
Bo dzisiejsi Hamleci mają inne problemy,
niż walka z kazirodztwem,
co jednak nie pozbawia ich hamletyzmu.
Dzisiejsi Werterzy, zamiast strzelać sobie w głowę,
zapijają się wódką by zapomnieć,
i zielonym dymem napełniają czaszki,
bez szkody dla swego werteryzmu.
Konradzi cierpią we własnych mieszkaniach M3 albo M4,
i niepotrzebne im cele bazylianów.
A Don Juani (wcale nie z Hiszpanii) poznają kolejne kobiety
na byle dyskotekach i doprawdy nie trzeba im dalekich rejsów.
Więc świat właściwie nie stracił romantyzmu.
To romantyzm z lekka sparciał w tym świecie,
a jednak nie przeszkadza, aby żyli wiecznie:
Goethe i Byron, Mickiewicz i Puszkin,
przynajmniej w głowach humanistów.
Spróbuj więc być humanistą
i pozwól im żyć.
Może gdy będzie nas więcej,
ocaleją głębie.
Nie mów, że żyjemy w epoce, „post”.
To od ciebie zależy epoka,
w jakiej chcesz żyć.
Czemu wybierasz, „post”?
Nie mów, że jest po wszystkim,
bo jeszcze jesteśmy przed wszystkim.
Nie ogłaszaj końca.
Pójdźmy wskrzesić czas.

Roland rocznik dwudziesty

Wspomnienie o Romualdzie Winciorku

Artur Adamski

Kiedy przychodził na świat jego ojciec walczył w szeregach żołnierzy zmagających się z bolszewicką nawałą. Niezwykłym wspomnieniem z pierwszych lat życia były częste wizyty w domu Władysława Reymonta. Do śmierci autora „Chłopów" jego gospodynią była właśnie matka Romualda.

Wiele razy opowiadał mi o wiejskiej szkole, do której uczęszczał a w szczególności – o lekcjach historii. Nie miał dziesięciu lat, gdy pierwszy raz usłyszał opowieść nauczyciela o antycznych Grekach, pomimo druzgocącej przewagi wrogów mężnie stających w obronie swojej ojczyzny. Jego wspomnienia tych lekcji sprzed kilkudziesięciu lat uświadomiły mi, jak potężną rolę odegrać może szkoła, w której dobrzy nauczyciele rzetelnie realizują mądry, służący państwu program. Całe późniejsze życie Romualda było bowiem dowodem na to, że już w dzieciństwie uformowany został na kogoś takiego, jak żołnierz Leonidasa.

W obronie niepodległości

We wrześniu 1939 jego rocznik nie został powołany do wojska. Jednak jako aktywny od wielu miesięcy członek drużyny obrony przeciwlotniczej walczył z najeźdźcami od pierwszego dnia. Kiedy front zbliżył się do rodzinnego, skierniewickiego powiatu przyłączył się do oddziału Wojska Polskiego. Jego dowódca, młody porucznik, znał go już jako młodzieńca odważnego, wytrwałego i dobrze posługującego się bronią. W bitnym oddziale piechoty Romuald był pełnoprawnym żołnierzem. Przewaga Niemców była kolosalna. Dowódca postawił sobie za cel stawianie oporu i zadawanie strat nieprzyjacielowi zawsze, kiedy było to możliwe. Za równie ważne uważał uniknięcie niewoli. Oddział stoczył więc dziesiątki potyczek i niezliczoną ilość razy unikał okrążenia. W trzecim tygodniu wojny znalazł się na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną. Tam przyszło ścierać się także z sowietami. Na przełomie września i października sytuacja była już beznadziejna i dowódca postanowił doprowadzić swych żołnierzy do rejonu, w którym zaczęli swój udział w wojennej kampanii. Stamtąd bowiem wszyscy blisko już mieli do swoich domów. Roztropny marsz przez Polskę rozdartą niemiecką i sowiecką okupacją trwał parę tygodni. Przekraczając ustaloną na Bugu nową „granicę przyjaźni" zabić musieli nie chcącego ich przepuścić strażnika, którym był uzbrojony w karabin Żyd w tradycyjnej chałatce z czerwoną opaską na ramieniu.

W okupacyjnej konspiracji

Po dotarciu do domu starszy brat wprowadził Romualda do organizującego się zbrojnego podziemia. Prawdopodobnie wtedy zaczął się posługiwać pseudonimem Roland, pod którym przyjaciołom znany był do końca życia. W 1940 został żołnierzem Związku Walki Zbrojnej, następnie jednego z oddziałów dyspozycyjnych Armii Krajowej obwodu skierniewickiego. W roku 1942 i 1943 wielokrotnie przedostawał się na teren warszawskiego getta, wykonując rozkazy związane ze współpracą Armii Krajowej z Żydowskim Związkiem Wojskowym. Do zamkniętej żydowskiej dzielnicy najczęściej docierał wraz z bratem tramwajem, którego trasa biegła przez getto. Nie byłoby to możliwe, gdyby motorniczym tego pojazdu z zamalowanymi szybami nie był współpracownik podziemia. Podobnie było też z częścią pasażerów oraz patrolem żydowskiej policji, w pobliżu którego tramwaj przystawał, umożliwiając jego opuszczenie.

W pamięć Romualda najbardziej musiała się wyryć jego ostatnia wizyta w getcie. Z wieloma drobnymi szczegółami opowiadał mi o niej wiele razy. Ciężki bagaż, który wtedy przewoził wraz z bratem, zawierał ręczny karabin maszynowy i duży zapas amunicji. Jeśli wierzyć relacji Marka Edelmana, spisanej przez Hannę Krall i wydanej pod tytułem „Zdążyć przed Panem Bogiem", powstańcy z warszawskiego getta mieli tylko jeden ręczny karabin maszynowy. Musiał więc to być ten dostarczony przez braci Winciorków. Jednak to nie ta wysłana przez Armię Krajową broń była wówczas najmocniejszym przeżyciem Romualda. W mieszkaniu, w którym przekazywali erkaem, bracia poznali dwie żydowskie dziewczyny. Natychmiast wtedy stwierdzili, że ich twarze tak dalece nie przypominają żydowskich, że obydwie te osoby bez trudu da się ukryć po tzw. aryjskiej stronie muru. Oświadczyli więc od razu, że w drogę powrotną wezmą je ze sobą, ukryją u przyjaciół, szybko załatwią im fałszywe dokumenty a po nauczeniu pacierzy będą one mogły skutecznie podawać się za Polki i mieć szansę przeżycia okupacji. Na propozycję tę uzyskali odpowiedź, że wyprowadzenie z getta wymaga zgody jakiegoś żydowskiego organu. Czekając na tę decyzję, Winciorkowie znaleźli się w dużym kłopocie. Minęła bowiem godzina, o której mieli wsiąść do tramwaju, mającego ich wywieźć z getta. Zbliżała się też pora, o której, w przypadku gdyby nie wrócili do umówionego miejsca, przełożeni z AK uznaliby, że ich misja zakończyć się musiała wpadnięciem w ręce Niemców. Po długim czasie ich rozmówca wreszcie powrócił i zakomunikował, że rada żydowska postanowiła, iż wyprowadzić z getta mogą, ale nie te, lecz dwie inne dziewczyny. Na ich widok obydwaj Winciorkowie złapali się za głowy. Przyprowadzone osoby swym wyglądem do złudzenia przypominały Żydówki z niemieckich plakatów propagandowych. „Tych nie damy rady wyprowadzić! Pierwszy napotkany Niemiec nawet z odległości kilometra rozpozna, kim są! Nie mamy żadnych szans ich bezpiecznego przeprowadzenia przez Warszawę!" – wykrzyknął brat Romualda. „Te albo żadne" – odpowiedział ich rozmówca. Winciorkowie opuszczali sami teren getta, posługując się przepustkami, podrobionymi na taką okoliczność. Kilka tygodni później w getcie wybuchło powstanie. A jeszcze ponad półwieku później Romuald powtarzał wiele razy: „Dlaczego oni nie pozwolili nam ich wyprowadzić i ukryć? One mogły przeżyć".

W podziemiu antykomunistycznym

Po rozwiązaniu Armii Krajowej Romuald został członkiem organizacji Wolność i Niezawisłość. Założył rodzinę i osiedlił się w położonym na północ od Wrocławia Wilczynie Leśnym. Współpracował z Polskim Urzędem Repatriacyjnym, opanowanym przez działaczy WiN. Przez jego dom przewijali się ścigani przez UB żołnierze AK i powojennego antysowieckiego podziemia. Przyjaciele pracujący w PUR-ze umożliwiali im ukrycie się na Ziemiach Odzyskanych. Wielu udawało się zmienić tożsamość, osiedlić pod zmienionym nazwiskiem i dotrwać do bezpieczniejszych czasów. Jedną z ofiar UB stał się wówczas także starszy brat Romualda, towarzyszący mu przez wszystkie lata wojennej konspiracji. Romuald znał tożsamość morderców, w latach dziewięćdziesiątych bezskutecznie oprawców tych próbował postawić przed sądem. Jak inni bandyci z UB, w dostatku i spokoju dożyli późnych lat.

Od 1958 roku częstym gościem Winciorków był Kornel Morawiecki, przyjaciel rodziny przyjeżdżający potem wraz ze swoją żoną, dziećmi, przyjaciółmi. Spotkania często miały charakter debat o sprawach narodowych i politycznych. W czasie rozmów, wykładów i wspomnień kiełkowały późniejsze opozycyjne inicjatywy.

W roku 1968 ktoś ze znajomych poprosił Romualda o przyjęcie pod swój dach żydowskiej rodziny, nękanej przez komunistyczne władze. O ludziach, z którymi mieszkał potem przez ponad rok, nie wiedział zupełnie nic, a to co sami opowiadali, było mało spójne i nie brzmiało zbyt wiarygodnie. Zdecydowali się opuścić wilczyński azyl po otrzymaniu listu, z którego wynikało, że każdy z marcowych emigrantów zapewnioną ma ogromną pomoc i doskonały start w nowym życiu. Dopiero po wyjeździe nieznajomych Romuald dowiedział się, że na utrzymaniu miał rodzinę bardzo zamożną, ściśle związaną z aparatem władzy, do momentu porażki w wewnątrzpartyjnych porachunkach cieszącą się wielkimi przywilejami.

W tym samym 1968 roku w domu Romualda powielane były ulotki, a jego syn Wojciech wraz z Kornelem Morawieckim wyruszał z Wilczyna na wielkie akcje malowania haseł wzdłuż ruchliwej linii kolejowej, łączącej Wrocław z Poznaniem. Działalność na dużo większą skalę ruszyła w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy duża część wiejskiego domu, stała się wielką drukarnią. W roku 1980 Romuald włączył się w organizowanie niezależnego ruchu ludowego. Po wprowadzeniu stanu wojennego, pomimo nękania przez SB, Romuald oddawał wielkie usługi solidarnościowej konspiracji. Wspomagał działalność zarówno NSZZ Solidarność, jak i Solidarności Wiejskiej oraz Solidarności Walczącej, w której jego syn był bardzo aktywny. Uczestniczył m.in. w nadawaniu szeregu audycji Radia Solidarność Walcząca, niespodziewanie włączającej się w fonię Programu Trzeciego Polskiego Radia. Romuald wskazywał radiowcom najlepsze do emisji miejsca, zlokalizowane na szczytach Wzgórz Trzebnickich. Którymś razem był świadkiem zabawnej sytuacji. Kilometr od domu Romualda znajdowała się wojskowa stacja radiolokacyjna. Odpoczywający przy pięknej pogodzie żołnierze słuchali „Powtórki z rozrywki", gdy nagle przemieniła się ona w audycję Radia SW. Żołnierze najpierw osłupieli, potem zaczęli wsłuchiwać się w nabożnym wręcz skupieniu, a gdy audycja dobiegła końca zaczęli spontaniczny taniec radości. Świadkiem tej sceny byli oficerowie, na złamanie karku pędzący terenowym samochodem przez leśne bezdroża. Od pojazdów innych służb zaroiło się w całej okolicy, a kilku esbeków przewracało już do góry nogami dom Romualda. Spodziewając się takich wydarzeń, przygotował on jednak całe swoje gospodarstwo na takie ryzyko. W efekcie ani SB niczego nie znalazła, ani nie schwytała radiowców, którzy po emisji programu ewakuowali się dobrze przemyślaną drogą ucieczki.

W okrągłostołowej rzeczywistości

Od 1990 roku w charakterze instruktora d.s. filmu pracowałem na pół etatu w niedalekim od Wilczyna Obornickim Ośrodku Kultury. Wraz z Romualdem od razu doszliśmy do wniosku, że okoliczność tę, oznaczającą możliwość bezpłatnego korzystania z sali klubowej, można wykorzystać dla spotkań dyskusyjnych. Ich stałym gościem był Kornel Morawiecki, prelegentami bywali też m.in. Antoni Lenkiewicz, Wojciech Ziembiński, Stanisław Srokowski, Edward Wiczkowski, Jacek Podlejski. Z satyrycznym programem o aktualnych sprawach wystąpił kabaret Jana Fornala, uruchomiliśmy też działalność Klubu Filmu Historycznego. W realiach jednolitego przekazu lat dziewięćdziesiątych nasza działalność była prawdziwą oazą wolnej myśli. Najcenniejsze było jednak to, że młodzież mogła się tam spotkać i rozmawiać z tak niezwykłym uczestnikiem historycznych wydarzeń, jakim był Romuald Winciorek.

Każde spotkanie z nim wiązało się z rozmową o Polsce. Mówił nie tylko o tym, co działo się w niej złego, ale też nieustannie szukał wyjścia z patologii i pułapek, w które nasza ojczyzna zabrnęła. Odszedł przekroczywszy wiek ponad osiemdziesięciu lat, został pochowany na cmentarzu w Obornikach Śląskich. A historia jego życia zasługuje na spisanie w formie tysiąckroć obszerniejszej od niniejszego wspomnienia.

POLAK WĘGIER

„Polak Węgier dwa bratanki
I do szabli i do szklanki
Oba zuchy oba żwawi
Niech im Pan Bóg błogosławi.”

Bronić trza suwerenności
I swobody i wolności
Bronić dobra i wartości
Jak to było już w przeszłości

Brawo Orban Morawiecki
To obyczaj stary świecki
Za waszą i naszą wolność
By pomagać – wciąż jest zdolność

Najpierw Moskwa dziś Bruksela
Bruksela pod wpływem ziela
I określę to jak umiem
Że szwankuje im z rozumem

Dziś komercja wyuzdanie
Każdy nieuk ma swe zdanie
I bez sensu zaś wywodzi
Co należy co uchodzi

Biorąc zaś przykłady liczne
Oraz fakty historyczne
I doktryny stalinowskie
Nazistowskie czy frankowskie

Eutanazję chcą lansować
I aborcję też promować
Uprzedmiotowić człowieka
I nie ważne co świat czeka

Z głoszonych zdrajców tez
Inmaculada Martinez
Opozycję w twarz opluwa
Kłamstwa o Polsce wysnuwa

O Auschwitz i o nazistach
O zbrodniarzach długich listach
I o gettach krematoriach
O hitlerowskich teoriach...

I z Brukseli znowu grożą
Że nic Polsce nie dołożą
A w najbliższej już przyszłości
Pozbawią suwerenności

Zaś minęły długie lata
I znów tworzy się HAKATA
Dyrektywy ślą z Berlina
A zło świata – Polski wina

„Nie będzie Niemiec pluł
nam w twarz”
Wiersz Konopnickiej pewnie znasz
Dzisiaj zmienia się tu warta
„Idolem” jest Lempart Marta

Więc ogólnie nic nowego
Smuci człeka poczciwego
Głupota i brak wartości
Zwyczajne zdrajców podłości

Po co były więc powstania
Do wolności wciąż starania
Wśród narodowych sporów
Przyjdzie czas nowych zaborów

Polsko może czas refleksji
Może dość już tej aneksji
Może honor i wartości
Byłyby warte wolności

POSTSCRIPTUM
Lengyel magyar – két jó barát
Együtt harcol s issza borát
Vitéz s bátor mindkettője
Áldás szálljon mindkettőre

Mieczysław Góra 601 824 583
Spotkania autorskie

Autorytaryzm czy demokracja – wybory w USA

Donald Tusk o stanie demokracji w USA, na świecie i w Polsce

▪ Ambasador Ryszard Schnepf, znany były ambasador Polski w Waszyngtonie zorganizował 27 listopada wideokonferencję z udziałem byłych ambasadorów, wybitnych znawców polityki zagranicznej i Stanów Zjednoczonych, aby dyskutować o wyborach i poziomie demokracji okresu „trumpizmu”. Gościem honorowym był Donald Tusk, którego bardzo interesującą wypowiedz o stanie demokracji, również w Polsce, warto przedstawić.

AGNIESZKA MARCZAK

Tusk powiedział: „Nie ważne, czy pytamy o przyszłość demokracji w Ameryce czy w Europie, czy w Polsce, pytamy tak naprawdę o świat po pandemii”.

Dalej zastanawia się, jaka będzie demokracja i jaka jest rola państwa w czasie pandemii. Czy rządy autorytarne, są jedynym sposobem na skuteczne przeciwdziałanie wirusowi? „Jak odnaleźć równowagę między wolnością jednostki, a potrzebą bezpieczeństwa i przynależności. Wszak wielu mówi o końcu globalizacji. Rodzący się na naszych oczach nacjonalizm nie daje żadnych odpowiedzi. Nie w dobie powszechnego lęku”.

Wracając do rzeczywistości USA po wyborach, Donald Tusk uważa wbrew poglądom znawców z Waszyngtonu (Ian Brzezinski), że „Ameryka się zmieni – wróci do tego, co jest dla niej święte, co jest tarczą wolności jednostki w samych Stanach i na całym świecie”. Czyli Ameryka wróci do demokracji, którą reprezentuje Joe Biden, a odejdzie od autorytaryzmu w ostatnich czterech latach rządów Trumpa.

Odwołując się do Ameryki, Tusk ocenia jednocześnie politykę w Europie i Polsce. Odniesienie do Bidena, to „powrót do rządów prawa, kłamstwo w polityce, które rozprzestrzeniło się za rządów Trumpa, i to nie tylko w Ameryce, ale i całej Unii Europejskiej; kłamstwo stało się permanentnym narzędziem politycznym. Biden wróci do faktów, a będzie to poważny kłopot dla populistów i profesjonalnych kłamców zarówno na prawicy jak i lewicy; i w EU i w USA”.

Nominowany przez Bidena na sekretarza stanu Tony Blinken, który określony został jako neokonserwatysta, ale jednocześnie jest analitykiem CNN do spraw międzynarodowych, proponuje powstanie LIGI DEMOKRATYCZNEJ jako międzynarodowej organizacji **„Ligi państw które są gotowe bronić podstaw demokracji, liberalnej demokracji”**. Tusk przy tym zauważa że „kwestia praworządności będzie kluczowa i to będzie miało wpływ na demokracje w USA i w samej Europie (...) **tu ważny komunikat dla Polski:** ci wszyscy, którzy planują albo powodują osłabianie europejskiej integracji, europejskiej wspólnoty, ci wszyscy będą po prostu wyraźniej słabsi i będą mieli z nową administracją i Bidenem sporo kłopotów; czy mamy się z tego **cieszyć – ja uważam że tak,** nawet jeśli może to oznaczać pewne kłopoty dla **polityków rządzących także w Polsce. Dobrze by było aby mieli w tej sprawie poważne kłopoty”.**

Te słowa Donalda Tuska to tylko część jego komentarza na temat autorytarnych rządów, w domyśle w Polsce i na Węgrzech, co podkreślał w swojej wypowiedzi o obronie LIBERALNEJ DEMOKRACJI. Jego nawiązanie do przyszłości globalizmu ws nacjonalizmu przedstawia zarówno myślenie jak i dążenie elit europejskich do zmian w tożsamości państw unii. I tu byly premier stwierdza że „porządek postpandemiczny i wybory w USA będą sprzyjać integracji. Znak zapytania do nas Polaków: **bolesny znak, po raz pierwszy z taką mocą pojawiają się stwierdzenia,** że ta mocniejsza integracja może nie być integracją całej Europy; z różnych powodów o których my wszyscy dobrze wiemy, powodów, które niestety są źródłem działań rządu PIS -u czy Orbana na Węgrzech”.

Były premier dalej koncentruje się na obecnych rządach w Polsce, używając słów Bidena jako klucza do roli naszego kraju w międzynarodowym przyszłym ładzie krajów demokracji: „Czy Polska znajdzie sobie miejsce w świecie, gdzie państwa będą szukały porozumienia, moim zdaniem to zależy od Polaków”. Tusk, cytując Bidena, wymieniającego Polskę razem z niedemokratyczną Ukrainą i Białorusią, stwierdza: **„Dla Polski jest to być albo nie być;** brzmi to dla nas okrutnie, ten krytycyzm ma w sobie dużo uzasadnień, dobrze o tym wiemy. Jest to kwestia być albo nie być zarówno dla Europy jak i dla Polski; aby odzyskały wiarę, determinacje i siłę, szukając sposobu na bezpieczeństwo, nie przekreślając potrzeby do tożsamości i przynależności, będą **równocześnie z determinacją broniły demokracji liberalnej**; ten dylemat musimy na własnym podwórku rozwiązać sami**; gdyby miało tak się stać – nie chcę być prorokiem ale proszę potraktować te słowa jako ostrzeżenie – że jeżeli w Polsce nie przywrócimy tego porządku demokratycznego w którym rządy prawa, wolność jednostki i prawa mniejszości są w centralnym miejscu, to ta reintegrująca się wspólnota transatlantycka pozostawi nas na marginesie; to będzie proces być może długi, dla wielu może okazać się procesem niezauważalnym; ale jeżeli nie dokonamy przełomu w Polsce, może okazać się procesem nieuchronnym**; o tym warto pamiętać, bo dzisiaj dyskutujemy czy Polexit jest możliwy”.

W tym punkcie swojego wystąpienia Tusk przywołuje historię powojenną Polski, zestawiając łańcuchy sowieckie z miękkimi nićmi więzów jakie łączą kraje Unii Europejskiej. O te więzi trzeba dbać, a przykładem jest Brexit, gdyż rządy angielskie nie zauważyły jak się rozpadły. W Polsce musimy dbać o te niewidzialne nici łączące wszystkie kraje unii, gdyż są one gwarantem bezpieczeństwa i jedności Europy.

Donald Tusk przedstawił wiele ważnych kwestii w stosunkach międzynarodowch, jakie będą kształtować kraje Unii Europejskiej w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi. Nie ulega wątpliwości, że jego poglądy są zgodne z większością eurokratów którzy dążą do pogłębionej integracji państw unii.

W jaki sposób ta wspólnota będzie funkcjonować oraz jakie będzie rozumienie demokracji – liberalnej czy tej tradycyjnej – rozstrzygnie się w nadchodzącym czasie.

Czy osoba ze statusem bezrobotnego może sobie dorabiać prowadząc działalność gospodarczą?

▪ Nie w każdym przypadku przedsiębiorca musi zarejestrować własną firmę. Rozwiązaniem dla prowadzących drobną sprzedaż lub działalność usługową jest działalność nierejestrowa. Aby jednak z niej skorzystać, trzeba spełnić kilka warunków.

MAGDALENA SZYMEROWSKA

Z tej formy działalności gospodarczej mogą skorzystać osoby fizyczne, które w ciągu ostatnich 60 miesięcy (5 lat) nie prowadziły tradycyjnej, ewidencjonowanej działalności gospodarczej. Natomiast przychody w ramach tej działalności w żadnym miesiącu nie przekraczają 50 proc. minimalnego wynagrodzenia. W 2020 roku limit ten wynosi 1300 zł brutto, ponieważ płaca minimalna jest w wysokości 2 600 zł brutto.

Ograniczenia nakładane przez ustawodawcę sprawiają, że działalność nieewidencjonowana ma swoje grupy adresatów. W pierwszej grupie są osoby, które nie chcą tworzyć wielkiego biznesu i tego typu aktywność gospodarczą traktują jako dodatkowe źródło dochodu. Do drugiej grupy zaliczymy przede wszystkim osoby, które wykorzystują okres takiej działalności do budowania bazy klientów, rozwijania struktury firmy – jest to swoista firma na próbę, bez większego ryzyka. Kiedy przestają mieścić się w ramach stworzonych przez ustawę, przechodzą do prowadzenia regularnej i zarejestrowanej działalności.

Jest również trzecia grupa, która być może najbardziej takiej działalności potrzebuje – to osoby bezrobotne. Czy osoby zarejestrowane w Urzędzie Pracy mogą prowadzić nieewidencjonowaną działalność?

W ustawie o promocji zatrudnienia i instytucjach rynku pracy, nie pojawił się nowy zapis, który wprost odnosiłby się do zarejestrowanych bezrobotnych i aktywności zarobkowej w ramach działalności nierejestrowanej. Opierając się jednak na dotychczasowych przepisach, można stwierdzić, iż ten sposób zarobkowania nie musi wpływać na status bezrobotnego. Warunkiem zachowania statusu jest spełnienie kilku wymogów.

Pierwszy z nich to zdolność i gotowość do podjęcia zatrudnienia. Rejestrując się w urzędzie pracy, osoba bezrobotna składa pisemne oświadczenie, że jest zdolna i gotowa podjąć zatrudnienie. Podjęcie aktywności zarobkowej w ramach działalności nierejestrowanej nie może wpłynąć na gotowość do podjęcia zatrudnienia. Zarejestrowany nadal zobowiązany jest zgłaszać się na wyznaczone wizyty oraz przyjmować skierowania do pracy.

Drugim warunkiem jest brak wpisu do ewidencji działalności gospodarczej. Przy tej formie działalności nie jest wymagany. Przepisy precyzyjnie ustalają, że statusu osoby bezrobotnej w urzędzie pracy nie może mieć osoba, która ma wpis do ewidencji działalności gospodarczej. Wyjątek stanowi zawieszona działalność. Zatem, podejmując się zarobkowania w formie nierejestrowanej działalności, jak sama nazwa wskazuje, nie ma się wpisu do ewidencji. Co oznacza spełnienie kolejnego warunku zachowania statusu.

Dopóki przychód z działalności nie przekroczy połowy minimalnego wynagrodzenia, a bezrobotny będzie zdolny i gotowy do podjęcia zatrudnienie, działalność nierejestrowa nie spowoduje utraty statusu osoby bezrobotnej w urzędzie pracy.

fundacja arp

Zmiany w prawie o ruchu drogowym. Od grudnia większość wejdzie w życie

▪ W najbliższym czasie kierowców czekają zmiany w przepisach. Te wyczekiwane zmiany to efekt tzw. pakietu deregulacyjnego dla kierowców (a dokładnie ustawy z 14 sierpnia 2020 r. o zmianie ustawy – Prawo o ruchu drogowym oraz niektórych innych ustaw).

Prawo jazdy – co stanie się jeśli zapomnimy dokumentu?

Kierujący pojazdami mający polskie prawo jazdy będą zwolnieni z obowiązku posiadania przy sobie i okazywania dokumentu podczas kontroli drogowej w Polsce. Dane i uprawnienia kierowcy będą podczas kontroli drogowej sprawdzane w centralnej ewidencji kierowców. Już od 5 grudnia 2020 r., ruszając w trasę, nie będziemy musieli stresować się tym, że zostawiliśmy prawo jazdy na szafce w korytarzu lub w innej torebce.

Zostawimy dotychczasowe tablice rejestracyjne

Będziemy mieli możliwość zachowania, na wniosek właściciela pojazdu, dotychczasowego numeru rejestracyjnego. Opłata za najczęściej wydawane tablice samochodowe to 80 zł. Dzięki pozostawieniu dotychczasowego numeru rejestracyjnego nie trzeba będzie za nie płacić, jak również nie trzeba będzie ponosić opłaty za nalepkę kontrolną.

Karta pojazdu i nalepki kontrolne nie będą już wydawane.

Kolejnym uproszczeniem w procedurze rejestracji pojazdów jest zniesienie obowiązku wydawania karty pojazdu oraz nalepki kontrolnej i jej wtórnika. Dzięki temu właściciele pojazdów oszczędzą, np. podczas rejestracji pojazdu sprowadzonego z zagranicy w sumie 94,5 zł (karta pojazdu – 75 zł i nalepka kontrolna – 18,5 zł i łącznie 1 zł opłaty ewidencyjnej). Wydawanie karty pojazdu nie będzie konieczne, bo organy rejestrujące pojazdy oraz organy kontroli ruchu drogowego mają dostęp do centralnej ewidencji pojazdów. Właściciel może ponadto sprawdzić historię pojazdu on-line.

Oprac. red.

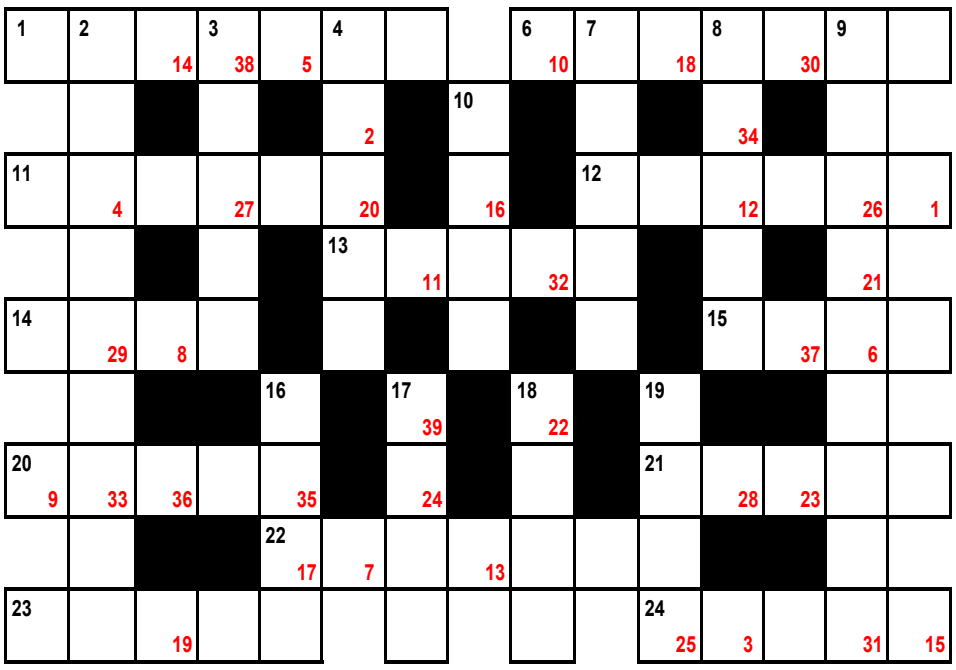

POZIOMO 1) Pt na tablicy Mendelejewa; 6) łowca serc niewieścich; **11)** w Kościele katolickim okres poprzedzający Boże Narodzenie; **12)** świętuje w dniu imienin Barbary; **13)** argument dowodzący słuszności wywodów; **14)** kojarzy się z zielenią wiosenną; **15)** sznurek przy lasce dynamitu; **20)** ośrodek sportowy na Pojezierzu Pomorskim; **21)** niejedna na ciele pantofelka; **22)** ta święta o górnikach pamięta; **23)** bohaterka polskiego łamańca językowego; **24)** tnie kuranty w „Strasznym Dworze”.

PIONOWO: 2) Dzwon Zygmunta to jego robota; **3)** merytoryczna zawartość wypowiedzi; **4)** rodzaj farby; **7)** olejek z niego odmładza i odżywia; **8)** masa plastyczna do wyrobu szkieł okularowych; **9)** zwolennik Północy w czasie wojny secesyjnej w USA; **10)** jego utrata jest jednym z objawów zarażenia koronawirusem; **16)** w wiejskiej chacie lub w Parlamencie; **17)** klub piłkarski z Opola; **18)** Cyryl dla Metodego; **19)** rulon mięsa z dodatkiem.

Rozwiązaniem krzyżówki nr 233 jest hasło (przysłowie polskie) utworzone z liter oznaczonych numerkami od 1 do 39. Jego prawidłowy odczyt ułatwi wpisanie do poniższego diagramu.
Rozwiązanie krzyżówki 232 POZIOMO: Ameryka, daktyle, źrebak, Antoni, obłok, śrut, Arno, Abebe, dobro, rejestr, zając, anoda PIONOWO: Margrabia, robot, kąkol, Ajaks, Tutka, Leningrad, herc, hoja, Pisz, Odra . Hasło: **Bądź dobrej myśli, bo po co być złej?**

Z sieci

Znane i mniej znane portale w pigułce

dolnyslaskdlauli.pl

Co się kryje za tajemniczo brzmiącym adresem? *Monika i Ula, mama i córeczka, po długich podróżach i szukaniu miejsca na zie-*

mi wróciły do domu. Na Dolny Śląsk. Teraz małą Ulę czeka wielka przygoda – odkrycie tego magicznego regionu. Mama jej w tym pomoże, a przy okazji zachęci do lektury inne mamy i ich dzieci. Zgodnie z zapowiedzią: znajdziemy tu relacje z kolejnych podróży, z których śmiało mogą też korzystać dorośli. Można m.in. wybierać wśród ośmiu szlaków przez sudeckie skały (*Skałki i dzieci są połączone niewidzialną nicią*), można zaplanować zdobycie Śnieżnika, można też poznać ścieżkę edukacyjną wzdłuż nieistniejącej już Kolei Sowiogórskiej i oczywiście zwiedzić twierdzę Srebrna Góra. Bardzo ciekawa strona.

tpb-krakow.cba.pl

Krakowskie Bronowice kojarzą się w *Weselem*, ale na ich terenie jest znacznie więcej zabytków niż tylko legendarna Rydlówka – również połączonych trasami wycieczkowymi. *Z tradycji historycznej Bronowic Małych wyrosło Towarzystwo Przyjaciół Bronowic, które powstało w 1995 r., w rok po uroczystych obchodach 700-lecia lokacji Bronowic. Grupa osób, mieszkańców Bronowic, zaangażowana w ich organizację, doszła wówczas do wniosku, że nie można porzucać zapoczątkowanych w czasie obchodów rocznicowych planów oraz pomysłów.* Wśród licznych inicjatyw są „Bronowickie Zeszyty Historyczno-Literackie”, do tej pory ukazało się 29 numerów (bibliografia wcześniejszych wygląda imponująco). Warto prześledzić szczegółową listę zrealizowanych pomysłów – wśród nich: wielu mieszkańców Bronowic sięga po regionalne stroje ludowe. Innych udanych przedsięwzięć jest naprawdę dużo.

hello-morning.org

Wciąż szukamy przepisów na wegańskie Boże Narodzenie. Poznańska lekarka, p. Magdalena Jutrzenka, proponuje np. buraczany krem ze śliwkami i ziołami, bakłażana à la śledź po żydowsku, bakłażana à la śledź w occie, krokiety z kapustą i grzybami, pomarańczowo-rozmarynowy torcik z kremem z pomarańczy i nerkowców, piernikowe muffiny, szwedzkie szafranowe bułeczki św. Łucji, wegańskie serniki. Będzie 12 potraw – naprawdę bogaty wybór. A poza tym warto wziąć sobie do serca: *Weganizm jest dla mnie kwestią etyki, dbałości o zwierzęta, o planetę i w końcu o mnie samą.*

aan

obywatelska

Redaktor naczelny: Albert Łyjak
Redakcja: Michał Mońko, Krystyna Jagoszewska, Artur Waszkielewicz, Stanisław Srokowski, Paweł Zyzak, Waldemar Żyszkiewicz, Adrian Nikiel.
Skład: Firma Reklamowa Artur Waszkielewicz
Adres redakcji: 50-324 Wrocław, ul. Barlickiego 28
tel. 71 345 34 02;
e-mail: gazeta.obywatelska@gmail. com;
www. gazetaobywatelska. info

Facebook, Twitter: Gazeta Obywatelska;
Wydawca:
Stowarzyszenie Solidarność Walcząca

NIP: 899 26 35 006;
REGON: 020560 999;
KRS:0000 283315;
Nr konta: Santander Bank Polska,
24 1090 1522 0000 0001 2111 6543
(z dopiskiem „Darowizna na gazetę”)

Druk: Polskapress
ISSN 2392-3415

Prenumerata

Krajowa:
kwartalna (6 numerów) – **35 zł**
półroczna (12 numerów) – **75 zł**
roczna (24 numery) – **150 zł**
Zagraniczna:
roczna (24 numery) – **365 zł** (80 EUR lub 100 USD)
Do przelewów z zagranicy jedynym obowiązującym w Banku adresem SWIFT (BIC Banku) jest: WBKPPLPP.
Wpłaty proszę kierować na konto:

UWAGA ZMIANA

Santander Bank Polska,
24 1090 1522 0000 0001 2111 6543
– z dokładnym adresem, na który ma być wysłana gazeta. Prosimy dopisać wersję prenumeraty.
Numery kont dla wpłat dewizowych:
USD – 19 1090 1522 0000 0001 2117 6967
EUR – 75 1090 1522 0000 0001 2117 6929
Nie ma gazety w Twoim kiosku? Podaj tytuł i poproś sprzedawcę, żeby ją zamówił.

Będziemy bronić unijnych Traktatów oraz suwerenności Polski i Węgier

▪ Premier Mateusz Morawiecki i szef węgierskiego rządu Viktor Orbán podpisali w Budapeszcie deklarację, w której uzgodnili stanowiska w sprawie powiązania wypłaty unijnych funduszy z wystąpieniem naruszeń dotyczących praworządności. Polska i Węgry uważają, że regulacje unijne muszą być zgodne z Traktatami i decyzjami podjętymi podczas lipcowego forum Rady Europejskiej.

Wspólna deklaracja premierów Polski i Węgier

W odniesieniu do wieloletnich ram finansowych/nadzwyczajnego unijnego planu na rzecz odbudowy (Next Generation EU), w tym projektu rozporządzenia o ogólnym systemie warunkowości w celu ochrony budżetu Unii, uzgodniliśmy następujące zasady i cele, do których będziemy dążyć podczas negocjacji na forum Unii Europejskiej:

1. Jesteśmy oddani wspólnym wartościom, o których mowa w art. 2 Traktatu o Unii Europejskiej. Przypominamy, że procedura ochrony tych wartości jest określona w art. 7 Traktatu. Opieramy się o zasadę praworządności, w związku z czym bronimy status quo zawartego w Traktatach.
2. Poszukujemy rozwiązań, które pozwolą jak najszybciej udostępnić niezbędne środki finansowe dla wszystkich państw członkowskich.
3. Obecna sytuacja uniemożliwiająca szybkie zakończenie procesu legislacyjnego jest tworzona przez tych, którzy ustanowili związek pomiędzy zasadą praworządności a budżetem UE. Nasze stanowisko jest jasne od początku negocjacji, począwszy od propozycji Komisji w 2018 r. Wiadomym było, iż związek ten niesie ze sobą ryzyko blokady procesu zatwierdzenia wieloletnich ram finansowych/nadzwyczajnego unijnego planu na rzecz odbudowy (Next Generation EU).
4. Wynik negocjacji pomiędzy prezydencją Rady i Parlamentem Europejskim nie jest zgodny z porozumieniem osiągniętym przez szefów państw i rządów na lipcowej Radzie Europejskiej.
5. Naszym celem jest przeciwdziałanie powstaniu mechanizmu, który nie tylko nie wzmocni, ale wręcz podważy zasadę praworządności w Unii poprzez zdegradowanie jej do roli narzędzia politycznego. Proponowana warunkowość obchodzi Traktat, stosuje niejasne definicje i niejednoznaczne terminy bez wyraźnych kryteriów, na których mogą opierać się sankcje, i nie zawiera żadnych sensownych gwarancji proceduralnych.
6. Nasze kraje działały i działają w oparciu o lojalną współpracę i solidarność. Pozostajemy gotowi do pomocy w rozwiązaniu obecnej sytuacji. Podtrzymujemy, iż wymaga to istotnych zmian obecnie proponowanego mechanizmu.

Naszą wspólną propozycją jest ułatwienie szybkiego przyjęcia pakietu finansowego poprzez ustanowienie dwutorowego procesu. Z jednej strony wiązałby się on z ograniczeniem zakresu wszelkiej dalszej warunkowości budżetowej do ochrony interesów finansowych Unii, zgodnie z lipcowymi ustaleniami Rady Europejskiej. Z drugiej strony wymagałby on omówienia, w ramach Rady Europejskiej, kwestii ustanowienia związku pomiędzy zasadą praworządności a interesami finansowymi Unii. W przypadku podjęcia decyzji o ustanowieniu takiego związku należy rozważyć podjęcie odpowiednich procedur przewidzianych przez Traktaty, w tym zwołanie konferencji międzyrządowej, w celu wynegocjowania odpowiednich zmian w Traktatach.

Postanowiliśmy ujednolicić nasze stanowiska w tych sprawach. Ani Polska, ani Węgry nie zaakceptują żadnej propozycji, która zostałaby uznana przez drugie państwo jako nie do przyjęcia.

Źródło: gov.pl

WCIĄŻ AKTUALNE

Słowa śp. Kornela Morawieckiego

Węgrzy, przyjaciele

W rapsodzie pamięci gen. Józefa Bema, bohatera obu naszych narodów Cyprian Norwid pisze o pannach żałobnych: „drogi szukając, choć przed wiekami zrobiona".
Nasze polsko-węgierskie drogi tyczyła tysiącletnia historia. Węgrzy trwali otoczeni słowiańskim, germańskim i romańskim żywiołem i wytrwali pod tureckim naciskiem. Ochronili swój oryginalny język, tradycję i urodę. Swoją państwowością i kulturą wzbogacali Europę.

10.03.2019., Ambasada węgierska, uroczystość wręczenia przez premiera Victora Orbana wysokiego węgierskiego oznaczenia.

Za rok będziemy obchodzić setną rocznicę Bitwy Warszawskiej. Pokonaliśmy wtedy bolszewicką Rosję. Pokonaliśmy razem. Polski żołnierz strzelał węgierską amunicją słaną nam na pomoc. Z kolei w październiku 1956 roku my słaliśmy polską krew do walczącego Budapesztu dla ratowania rannych. Łączą nas takie więzi. Podobnie jednakowo cenimy wolność.
Z rąk premiera bohaterskiego narodu mam zaszczyt przyjmować uroczyste odznaczenie. Nie jako ja, jako Polak, jako syn tej ziemi, przedstawiciel Solidarności i Solidarności Walczącej. Jako Europejczyk wyrosły na chrześcijańskich korzeniach, na przykazaniu miłości przekładającym się na słowa Roty naszej organizacji: „przysięgam walczyć o solidarność między ludźmi i narodami".
Bo miłość i solidarność są relacją wzajemności. Uspołecznię słowa św. Pawła, powiem: „jedni drugich brzemiona nośmy". Silniejsi pomagajmy słabszym. Ale czy słabi mają biernie korzystać z pomocy? Absolutnie nie. Wszyscy mamy obowiązek wspólnie wymagać od siebie wkładu w pomyślność ogółu.
Europa dała nam i światu wielką maksymę wyrażoną zwięźle przez polskiego poetę Jerzego Narbutta: „lecz już wolnej myśli to za nic nie daj". Stąd się wzięła nasza siła, nasza współczesna nauka, edukacja, technologie. Stąd demokracja i dojrzała polityka. Stąd przez dokonania europejskich twórców i nauczycieli, wśród których nie brakowało Węgrów i Polaków, świat może wzrastać i rozwijać się ludnościowo, materialnie, poznawczo i moralnie. To wielkie dziedzictwo nas tworzy i zobowiązuje. Do czego? Do budowy Europy Ojczyzn, jako drogi do Ojczyzny Europa. Do budowy wielkiej Europy do Atlantyku do Pacyfiku, Europy wyrosłej z wolności i solidarności.
Niech na tej wyboistej drodze polsko-węgierska przyjaźń i braterstwo będą nam drogowskazem. Zbudujmy pokojowy, sensowny świat.
Tak nam dopomóż Bóg!